

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 1.

1 stycznia 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE  
37 NUMER PISMA

# Sygnaly

321/68/17  
f 400

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka •

## Andrzejowi Strugowi

Temu, który ukochał rzeczy trudne, walczył o nie słowem, czynem,  
a nawet miżeniem

wyrazy hołdy pośmiertnego i czci składa

Zespół „Sygnałów”

Następny numer „Sygnałów” poświęcony będzie pamięci Andrzeja Struga

LEON KRUCZKOWSKI

## SPOŁECZNE ASPEKTY PLAGJATU

Miarą upadku życia literackiego w Polsce dzisiejszej — upadku, wcale niedziwnego na tle warunków politycznych, w jakich żyjemy — jest fakt, że od pewnego czasu zjawiskiem, które najbardziej animuje u nas i porusza t. zw. opinijarstw kulturalnych, stała się kwestja — plagjatu. Nie jakieś wielkie, istotne zagadnienia, ideowczy artystyczne, nie żadna problematyka, godna ważności czasów, ale właśnie: plagjaty, plagjaty. Istna psychoza tropienia i „demaskowania” „plagjatorów”, najczęściej zresztą z pobudek zgoła pozaterackich, najskorzej w rozwidzeniu walki politycznej. W procederze tym, jak wiadomo, specjalizuje się prasa prawicowa, przyczem tropicielstwo literackie jest dla niej tylko fragmentem ogólniejszego „systemu” zwalczania przeciwników zapomocą szczerstw i denuncjacji. Kilka głośnych ostatnio spraw „plagjatorskich” wytoczono przecież na niezbyt wonnych łamach tej wyłącznej prasy. Mógłby ktoś tutaj odpowiedzieć, iż nie jest to wcale winą prawicowców publicystów-wyżłów; widocznie wszyscy literaci „plagjatorzy” grupują się akurat — podrugiej stronie barykady... Odpowiedź taką trudno byłoby uznać za rzetelną. Chodzi tu raczej — najzwyczajniej — o różnicę metod walki. Nie byłoby znow tak wielką trudnością znaleźć i „zdemaskować” z tryumfem jakiegoś „plagjatora” wśród pisarzy prawicowych, zwłaszcza przy zastosowaniu takich „chwytów”, jakimi w analogicznych wypadkach operują publicyści z „Orędowników”... Żaden z tych panów nie przypuszcza naprzykład, że — zapomocą wzmiankowanych „chwytów” — możnaby załatwić „plagjatu” w sposób wręcz „druzgocący” postawić i „udowodnić” — samemu K. H. Rostworowskiemu! Jeżeli tego nikt nie czyni, to jest to tylko, powtarzam, kwestja różnicy metod walki.

Ale zostawmy na boku rolę „plagjatomanji” jako aktualnie ulubionego środka w walkach harcowa-

ników politycznych. Chciałbym tu raczej naszkicować pewne myśli ogólniejsze, dotyczące samego zjawiska „plagjatu”, jako zagadnienia, interesującego nie tylko z punktu widzenia psychologicznego i kulturalnego, lecz również i socjologicznego. Być może, myśli te wydadzą się — szczególnie ludziom pióra, twórcom, pisarzom — nieco paradoksalne i ryzykowne, być może nawet spotkają się z gorącymi protestami. Chodzi mi jednak o przewietrzenie pewnych zastalych pojęć, o poruszenie nałogów myślowych, od których nie są wolne także umysły ludzi, widzących pono swą funkcję społeczną w przeciwdziałaniu wszelkim zastojom ducha, wszelkim bezwładom i skrzepom pojęciowym.

Nasamprzód jednak ustalmy: jaki uczynek literacki można określać mianem „plagjatu”? W pewnej dyskusji powiedział raz Irzykowski, iż plagjat w sferze treści i myśli jest rzeczą niemal nieuniknioną. Uważam to zdanie za słuszne przynajmniej o tyle, że przecież wszelka twórczość duchowa możliwa jest jedynie jako nieustanna kontynuacja, ciągle rozwijanie i supłanie pewnych, mniej lub więcej uniwersalnych wątków, niekiedy zgoła bezpieczeństwa, o pochodzeniu trudnym do ustalenia. Słusznie też zauważyła, w innej znow dyskusji, Aniela Gruszecka-Nitschowa, iż jeśli chodzi o treści i myśli, wytworzone w naszym, kilka tysięcy lat liczącym cyklu kulturalnym, to krążą one dokoła nas w atmosferze gęściej i zaraźliwiej, niż bakcyle. To też wydaje mi się, iż zagadnienie plagjatu może być rozważane tylko w zakresie formy, wyrazu, „opracowania”, czyli ukształtowania elementów treściowych w pewien oryginalny sposób.

I w tym zakresie jednak konieczne są rozróżnienia. Kwestja korzystania ze źródeł, opracowanych formalnie (pamiętniki, listy, relacje) przedstawia się inaczej jeśli chodzi o utwór „historyczny”, inaczej zaś jeśli o „współczesny”. W pierwszym wypadku najbardziej dosłowne, literalne użytkowanie takich źródeł trudno uważać za plagjat; autor chce być jak najwierniejszy prawdzie historycznej, a nie ma przecież możności dotarcia do niej osobiście, bezpośrednio; zresztą nie chodzi tu jedynie o wierność faktograficzną, lecz w większym bodaj stopniu także o kwestję nastroju, kolorytu, styliza-

cji językowej — najszcześliwsza nawet intuicja nie zastąpi w tym względzie autentyków. Inaczej z utworami o tematyce „współczesnej”. Tu autor sam ma możność dotarcia do faktów, o których pisze, albo też otrzymanie o nich relacji „surowej” (opowiadanie zasłyszane w „terenie”, relacje świadków zdarzenia i t. p.). W przetwarzaniu tej wersji „surowej” na własną wersję artystyczną obowiązuje już bezwzględnie oryginalność formy, nawet przy najbardziej reportażowym traktowaniu tematu.

Tak więc, powtarzam, zagadnienie „plagjatu” (pomijając wspomnianą odmienną kryterjów przy tematyce historycznej) powinno być rozumiane jedynie tylko jako zagadnienie nie treści, lecz formy, nie sensu lecz wyrazu, nie zawartości myślowej lecz jej kształtowania.

Jak wiemy jednak, rzeczywistość nasza w tej dziedzinie wygląda zupełnie inaczej. Pojęcie własności literackiej jest dzisiaj niezmiernie rozległe, a przyjęte w tej mierze kryteria (jeśli już nie prawne, to w każdym razie moralne) są tak rozciągle i pojemne, że można w nich pomieścić pretensje i zarzuty najoczywiściej nawet bezsensowne. Wynika to — i tu jest rzecz ogromnie ważna, a tak bardzo zapoznaną — z towarowego charakteru produkcji literackiej i wogóle kulturalnej (jak wszelkiej zresztą produkcji) w naszym ustroju. W społeczeństwie o ekonomice kapitalistycznej także wartości idealne, dzieła talentu czy „natchnienia”, twory ducha, podlegają w swojej społecznej egzystencji ogólnym prawidłom ustrojowym. Tytuł własności literackiej w bardzo rozległym pojęciu jest tak strzeżony prawnie jak znak fabryczny, etykieta czy opakowanie jakiegokolwiek, choćby najgrubiej utylitarne go produktu, mydła czy konserwy mięsnej.

Jakże daleko odeszliśmy w tym względzie od obyczaju epok przedkapitalistycznych! Pojęcie praw autorskich, takie, jakim dziś powszechnie operujemy, nie było znane ani w starożytności, ani w średniowieczu, ani nawet w dobie romantyzmu, na progu zeszłego stulecia, czyli już w epoce narodzin kapitalizmu. Szekspir, a więc dramaturg niebylejaki, gdyby żył i tworzył dzisiaj, prawdopodobnie pisywałby tylko w przerwach między niezliczonymi procesami o „plagjaty”, choćby nawet tak wybitne jak „Hamlet”... W literaturze polskiej klasycznym „złodziejem literackim” był właśnie klasyk naszej komedji, Zabłocki, którego wszystkie utwory, nie wyłączając „Sarmatyzmu” (!), są bądź tłumaczenia-

<sup>1)</sup> Mówię o „Niespodziance”. Skądś wiadomo, mianowicie z wyznań samego autora, iż pomyśl tego dramatu zaczerpnął Rostworowski z autentycznego zdarzenia życiowego, opisanego bodaj w kronice gazet. Istnieje jednak sztuka p. t. „Fatalna ciekawość” Jerzego Lillo, dramaturga angielskiego z początku XVIII wieku: cała treść, fabuła, główne postacie i sytuacje tej sztuki są poprostu frapująco takie same jak fabuła, postacie i sytuacje „Niespodzianki”. Zestawienie obu utworów byłoby nielada gratką dla kogoś, kto chciałby uderzyć w Rostworowskiego zarzutem „plagjatu”, dla jakiegoś, powiedzmy, lewicowego Stanisława Piaseckiego, gdyby taki istniał... To nic, że Rostworowski najprawdopodobniej nie czytał nigdy sztuki Lillo, że, jak wspo-

mniałem, pomyśl „Niespodzianki” zaczerpnął wprost z „życia”; dla ludzi, nie gardzących żadnym środkiem w „ubijaniu” przeciwników politycznych, sprawa o „plagjat” byłaby tutaj w każdym razie „do zrobienia”.

mi, bądź przeróbkami komedij współczesnych mu autorów zagranicznych. Wiadomo też, ile Słowacki brał „żywcem“ z Szekspira, wiadomo, że Mickiewicz czerpał niektóre wątki balladowe dość ściśle z literatury niemieckiej (patrz n. p. „Świtziarka“ i „Der Fischer“ Goethego), a „Odę do młodości“ nazwał jeden z przyjaciół poety „córką chrześną „Schillera“.

Przykłady powyższe (a możnaby, wiadomo, znacznie pomnożyć ich liczbę), dowodzą, jak bardzo swobodnie i niefrasobliwie zapatrywano się w owych epokach na prawo własności literackiej. Niczego tu nie zmienia fakt, iż *teoretycznie* problemem naśladownictwa w literaturze zajmowano się od najdawniejszych czasów, od Arystotelesa do Lessinga. W praktyce pisarskiej pojęcie „plagiatu“ w sensie dyskryminacji prawnej czy etycznej właściwie jeszcze nie istniało wcale. Zrodziło się ono, powtarzam, dopiero w warunkach ustrojowych społeczeństwa kapitalistycznego. Zrodziło się na gruncie prostego faktu *uhandlowienia się konsumpcji kulturalnej*, jako nieodpartej konsekwencji ogólnych właściwości ustroju. Miejsce dawnego feudała-mecenasa, rzucającego sakiewki poetom-dworakom i miejsce wesołych oberż, zawsze otwartych gościnnie dla plebejskich poetów-wagabundów, zajął t. zw. rynek, „rynek wydawniczy“. Ta oschła i niepokojąca kategoria ekonomiczna oznacza, że dzieło sztuki: książka, dramat, stało się *towarem*. Tem samym „twórca“ przeobraził się w „producenta“<sup>2)</sup> Z równie nieuchronną logiką uformowało się w rezultacie *prawo autorskie*, prawo własności literackiej, najbardziej zbliżone — jeśli chodzi o porównanie — do prawa ochrony „patentowej“ wszelkiego rodzaju pomysłów i wynalazków natury n. p. technicznej. W ten sposób zjawilo się zarazem pojęcie „plagiatu“ jako przestępstwa w stosunku do cudzej własności literackiej; pojęcie, trudne cprawda do prawniczego sprecyzowania w wielu konkretnych wypadkach, ale zato obdarzone wielką rozciągłością w znaczeniu bodaj moralnym. Pojęcie to, początkowo związane rzeczywiście tylko z formą dzieła, z jego tekstową oryginalnością, rozszerzyło się szcześnie także na elementy treściowo-myślówce.

Zapewne, chodziło tutaj w zasadzie o ochronę egzystencji twórcy poprzez ochronę jego pracy. Odkad tworzenie literackie stało się fachem, zawodem, albo conajmniej przygodnym źródłem uzyskiwania zarobków — interesy twórców musiały ulec jakiemuś prawnemu obwarowaniu. Nasuwa się jednak pytanie: jak ta sprawa przedstawia się z punktu widzenia interesów — jeśli tak można powiedzieć — samej literatury? Jak ona się przedstawia zwłaszcza wobec — przypominam — żywych tendencji rozszerzania owych rygorów prawnych poza granice formy, a więc w zakresy treściowe?

Otóż wydaje mi się, że mamy tutaj do czynienia z dosyć ciekawą kolizją „interesów“. Bo wyobraźmy sobie: może się zdarzyć, że pewien autor poweźmie doskonały pomysł utworu, lecz w wykonaniu stworzy rzecz słabą lub co najwyżej mierną; inny autor mógłby jednak przejąć ten sam pomysł, użytkować nawet dość podobnie jego elementy, lecz zato związać je o wiele lepiej czy ciekawiej, dać dzieło pełnowartościowe. Literatura — niewątpliwie! — tylko zyskałaby na tem, czytelnik, społeczeństwo, miałoby rzetelną satysfakcję. Biada jednak autorowi, który odważyłby się uczynić coś podobnego! Zaskarżony przez „poszkodowanego“ kolegę, mógłby nawet ewentualnie wygrać sprawę przed sądem, gdyby bezstronni rzeczoznawcy orzekli, iż — mimo wszystko — stworzył rzecz odrębną, oryginalną i znakomitą; ale i w tym wypadku zarzut „plagiatu“, przynajmniej w sensie moralnym, nadługo przyłgnąłby do niego w świadomości t. zw. „opinji“. Ba, a gdyby tak jeszcze chodziło o pisarza „drażniącego“ pod względem politycznym czy ideowym — dopiero miałby on się z pyszna!

Sądzę, że z przytoczonym wyżej fikcyjnie przypadkiem moglibyśmy w życiu mieć do czynienia częściej niż przypuszczamy — gdyby nie nasze dzisiejsze, tak rozciągłe i rygorystyczne, a tak głęboko zakorzenione (przedewszystkiem wśród samych twórców) pojęcie własności literackiej i rzekomo wynikających z niej uprawnień o charakterze „patentowym“ czy „monopolistycznym“<sup>3)</sup> Sądzę również,

<sup>2)</sup> Nie chciałbym być źle zrozumiany. Twórca pozostał oczywiście nadal twórcą w zakresie samej swojej pracy; w skórze „producenta“ przedzierga się w momencie, kiedy z gotowym dziełem wychodzi na „rynek“ (przyczem uchwytana istota „rynkowa“ bywa, rzecz jasna, wydawca, dyrektor teatru albo redaktor pisma, płacącego honorarja). Najbardziej idealnym, „czystym“ typem „twórcy“ jest w społeczeństwie kapitalistycznym, t. zw. grafoman.

<sup>3)</sup> Nawiąsem mówiąc, na tym punkcie prawnego zawłaszczania sobie wytworzonych przez się dóbr idealnych najwięcej wrażliwości wykazują pisarze mierni, trzeciordni. Im rzadziej zdarza im się znaleźć złote ziarno problemu czy pomysłu, tem zapalczywiej skłonni są pieniać się o prawo swej wyłączności w użytkowaniu tego ziarna. Odwrotnych wypadków bodaj nie zna historia literatury; nie było dotąd, zdaje się, zdarzenia, by jakiś wielki, znakomity pisarz wszczął sprawę o plagiat kłóremuś ze swoich mniej znakomitych kolegów, chociaż — otwarcie mówiąc — im wybitniejszy twórca, tem bogatsze jego twórczość źródłem, z którego czerpać mogą inni, mniej wybitni...

<sup>4)</sup> W subtelniejszej postaci objawia się tutaj to samo, co znane jest powszechnie z dziedziny twórczości utylitarnej n. p. technicznej: ileż to pożytecznych wynalazków, dzięki ochronie patentowej, wcale nie wchodzi w życie, jeśli realizacja któregoś z nich zagrażałaby interesom takiej czy innej branży produkcyjnej (typowa n. p. historia z wynalazkiem „wiecznej zapalki“, zakupionym i „unieszkodliwionym“ przez zainteresowane koncerny przemysłu zapalczanego).

JERZY WYSZOMIRSKI

# KŁĘSKA ESCHATOLOGJI

Ostatniej książce Marjana Zdziechowskiego p. t. „W obliczu końca“ (Wilno, 1937 str. XII+362) poświęciła prasa wileńska wiele uwagi i dyskusyj, lecz poza Wilnem, jak się zdaje, nie wywołała ona głębszego oddźwięku. Niełatwo jest o niej pisać z tego powodu, że sędziwy autor określił ją we wstępie jako „testament myśli swojej“. Testament — to ostatnia wola, ostatnie słowo i ostatnie przykazanie. Jakiż może być testament duchowy myślicie-la chrześcijańskiego, którym jest Zdziechowski, jeśli nie chrześcijański? *Heroiczne chrześcijaństwo* — jak się w jednym miejscu wyraża — oto skrót, pełen najistotniejszych treści, testamentu myśli jego. Nam, którzy chcielibyśmy być dzisiaj dobrymi chrześcijanami, nie pozostaje nic innego, jak przyjąć ten legat duchowy gorącym sercem. Ale ogarnia nas smutek, Zdziechowski bowiem, pisząc swój testament i obarczając nas trudnym obowiązkiem *wytrwania*, nie znalazł dla nas żadnych słów pociepienia w tragicznej naszej terażniejszości. Pozostawia nas, powiadając, że stoimy „przed zjawiskiem niechybnego rozkładu i końca, bezsilni i bezradni“, nawiedzeni przez djabła — i nakazuje heroiczny chrystjanizm. Jakże mamy go z siebie wykrzesać, gdy giniemy i djabeł nas opętał? Skąd zaczerpnąć mocy, gdy jesteśmy bezsilni i bezradni? Trwajmy w oporze — dodaje Zdziechowski: — może jakiś nowy przypadek, zamiast gubić, uratuje nas.

Oto siła i słabość eschatologii. Siła, bo umie ona wywoływać przerażające wizje klęsk ostatecznych; słabość, bo nie prócz „przypadku“, prócz cudu przeciwstawić tym wizjom nie jest w stanie. „Nieboska komedia“ kończy się również cudem: ginie Pankraczy, ginie hrabia Henryk, i nad trupami i zniszczeniem jawi się niewidzialny Chrystus. Więc Chrystus inaczej nie może przyjść na świat, jak po dokonanej zagładzie i końcu? Musi być wszystko zniweczone, by mogło nastąpić królestwo boże? Lecz w takim razie rewolucji i przewroty leżą w wyrokach Opatrzności, są środkiem do celu, jakim jest królestwo boże. Djabeł w takim razie staje się również narzędziem Opatrzności, która przez niego przygotowuje swe rządy na świecie. Zdziechowski więc nie powinien potępiać rewolucji rosyjskiej, bo choć jest ona dziełem djabelskim, Opatrzność musiała o niej wiedzieć, i skoro dopuściła ją, musiała to być w jej przeznaczeniach. Rozmyślenia eschatologiczne są niebezpieczne i zdradzieckie. W ostatecznym wyniku można dojść do straszliwych prawd

że pojęcie to, chociaż nawet trudne do sprecyzowania w normach prawnych, ale zato potężnie rozbudowane w niepisany kodeks obyczaju — jest dziś czynnikiem *hamującym* rozrost, rozwój i bogacenie się samej literatury.<sup>4)</sup> Dotykamy tu kwestji *wolności tworzenia*, nie tej mieszczańskiej, „wolno-konkurencyjnej“, która właśnie prowadzi do monopolów i patentów, ale wolności prawdziwej, wynikającej z rzetelnego upowszechnienia, uspołecznienia dóbr i wartości idealnych. Tej wolności, dla której nie „kto?“, lecz „co?“ i „jak?“ stanowi najistotniejsze kryterjum. Trudno nie wspomnieć tutaj, iż wielkość i wspaniałość gotyku związana była w jakiś tajemniczy sposób z bezmieniem jego twórców. Przez uniwersalizm jedynie prowadzi droga do nowego *personalizmu*, który nie będzie miał nic wspólnego z ciasnym mieszczańskim indywidualizmem.

Wolność tworzenia! Jakże boleśnie jest ona dziś oprymowana! Nietylko z zewnątrz, pasami i kneblami ucisku politycznego, ale w niemniejszym stopniu także od wewnątrz, przez narzucony właściwościami ustroju obyczaj, przez moralność mieszczańskiego *komercjalizmu w sferze ducha*. A przecież wszyscy, wielcy i mali twórcy, żyjemy dzisiaj z potężnej schedy skarbów myśli, skarbów kultury, wypracowanych przez minione wieki; tej schedy, o której nikt z nas powiedzieć nie może: „to moje“, lecz zato wszyscy zawołać musimy: „to nasze!“. Przyszły, jutrzejszy rozkwit sztuki i literatury, którego wszyscy pragniemy, możliwy będzie dopiero po przełamaniu wielu dzisiejszych nałogów pojęciowych, wielu fetyszów współczesnych, z *własnościowym* fetyszem na czele.

W literaturze tylko praca, żmudny trud formy, kształtowania tworzywa, powinien być jedynym, niezaprzeczalnym tytułem oryginalności i wynikających z niej uprawnień. Ono samo, tworzywo: substancja treści i myśli, nie może ulegać żadnej monopolizacji, żadnej handlowo i prawnie zastrzeżonej wyłączności, żadnemu prywatnemu zawłaszczaniu.

Zastrzegam się: nie chodzi mi tu o jakąś pochwałę plagiatu czy wręcz o zalecanie metod „kradzieży literackiej“; chciałem jedynie otworzyć pewne, bodaj nieuwzględniane dotąd aspekty sprawy, która — tamszona aż nazbyt często, wśród pogwizdywań kołtunerji, w niepowołanych łapach macherów gazeciarskich — w gruncie rzeczy zawiera w sobie przecież jądro problemu istotnego i niebiałego, godnego rzetelniejszych i bardziej płodnych rozważań.

Leon Kruczkowski

Tolstoja: *niet w mirie winowatych i nie protiwliat-sja zlu*. Zdziechowski nie dochodzi do tego; odwrotnie — nawołuje do sprzeciwiania się złu, którem jest bolszewizm, i przeklina winowajców jego. Ale fatalistyczny nastrój książki Zdziechowskiego, jej apokaliptyczna atmosfera może oddziaływać na czytelnika całkiem inaczej, niż tego pragnie autor. A to dlatego, że „pieśń wieczorna“ Zdziechowskiego jest w istocie beznadziejna; a to dlatego, że rewolucja rosyjska wyolbrzymiona została do rozmiarów kosmicznych jako *satanokracja* — śladem Bierdiajewa w „Nowem średniowieczu“.

Osobliwością książki Zdziechowskiego jest stanowisko, jakie zajmuje on wobec Rosji. Nie tylko nie chce nie wiedzieć o przyczynach rewolucji rosyjskiej, które były bardzo głębokie, skomplikowane i wielorakie, ale nie chce również nie wiedzieć o Rosji współczesnej. Rosja skończyła się dla niego w roku 1918 z chwilą wybuchu rewolucji: wszystko, cokolwiek się tam dzieje od r. 1918, różnorodne przemiany konkretne — w życiu politycznym, społecznym, obyczajowym i umysłowym, jakie się tam dokonały w ciągu lat dwudziestu — wszystko to jakby nie istniało dla Zdziechowskiego. Z uporem żarliwca powtarza, że od r. 1918 panuje w Rosji nieprzenikniona noc szatana. I w negacji tego, co tam jest, tego, co się tam odbywa, tkwi słabość Zdziechowskiego jako myślicie-la pozytywnego, jako filozofa. Właściwie, on nie pragnie być filozofem: on jest z natury mistykiem, i prawdę mówiąc, w mistycyzmie, owiewającym jego książkę, zawiera się cały jej urok literacki.

Każdy czytelnik Zdziechowskiego wie dobrze, że niesposób czytać go obojętnie, aczkolwiek nie jest on myślicielem oryginalnym i twórczym. On jest raczej referentem wielu spraw myśli i ducha, głosicielem idei, które zawdzięcza innym. Ale te idee niesie na skrzydłach namiętności i wiary. Stąd — żar książek Zdziechowskiego i jego doraźne oddziaływanie na czytelnika. Gdy jednak czytelnik oddali się od tego żaru i ochłonie, poczyną snuć refleksje tem bardziej sceptyczne, im bardziej dał się ponieść namiętnościom autora. I po zamknięciu „testamentu“ Zdziechowskiego rodzi się refleksja sceptyczna — co więcej: groźna. Powstaje pytanie: co uczyniłby Zdziechowski, gdyby posiadał moc fizyczną i władzę do walki z rewolucją? Oto, choć nazywa siebie wyznawcą „wzgardzonego dziś liberalizmu“, powiada: „lepiej będzie, jeśli zginie tysiąc łotrów, niżby naród cały pawić się miał w krwawym potopie“. Więc pamiętając na jego namiętności i wiare, ulać się można, bo objawiłby się w nim Savonarola, albowiem nienawiść jego do rewolucji jest równie bezmierna jak miłość do Chrystusa. Podobnie jak Savonarola uzbroidłby tłumy olbrzymie i nie mógłby już ich powstrzymać od pżogi i wojny — w imię Chrystusa. Stąd byłby krok tylko do Torquemady. I musiałby do walki z *czarującąjczką\**) powołać św. inkwizycję; na okrucieństwa „czerwonego terronu“, o których z dziwnem — rosyjskim, powiedziałbym — samoudręczeniem rozprawił na siedemdziesięciu stronach, odpowiedziałby — Ito wie? — stosami. Bo nietylko Rosja bywa okrutna i okrutny bywa bolszewizm. Nieszczęsny ksiądz madrycki Leokadusz Lobo tak pisał do arcybiskupa toledańskiego: „Czy można rzucać anatemy na dższę tatarską i na międzynarodówkę komunistyczną, a zarazem pokrywać milczeniem inne międzynarodówki? Dlaczego słuszny gniew chrześcijan nie ma osiągnąć komunizmu również jak faszystwu? Czyż trzeba przypominać, że rebelję naszą finansowali ludzie, zwący się katolikami, którzy dla brudnych interesów i kapitalistycznej eksploatacji zapominają zawsze o społecznych pouczeniach Kościoła?“

Tak więc, jeśli przeklinać i potępiać, jak Zdziechowski — to już i Wschód i Zachód. Jeśli walczyć — to nietylko z bolszewizmem, ale i z faszystwem. Jeśli rozstrzygać mistycznie zagadnienia dziejowe, to chyba już tak, jak Krasiński, który i Pankraciego i hrabiego Henryka skazuje na zagładę. Oto wielkość i słabość eschatologii. Ale Krasiński nie zakończył swej twórczości „Nieboską Komedją“. Wbrew swym przekonaniom i wychowaniu, wbrew konserwatyzmowi i ewolucyjnemu chrześcijaństwu, jakie głosił — uznawał zapewne w głębi duszy konieczność rewolucji, choć ją potępiał, uznawał ją tak, jak wierzyli w nią Mickiewicz i Słowacki: w rewolucję jako spólczynnik dziejowy, bez którego rozwój ludzkości nie może postępować, jak nie może się obejść bez wojen. mimo sprzeciwiającej się im wciąż pacyfizm. I powstał „Przedświt“ — *poemat o szczęściu*, co musi nadejść po czarnych żądzy nieskończonej i tęsknoty, po melancholji, napadającej niekiedy cały ród ludzki, z którego musi cieknąć czasami pot krwawych udrezeń na gorach oliwnych historii...

Zdziechowski, którego jednym z patronów duchowych jest Krasiński, mówi w swym testamencie inaczej: stoicie w obliczu końca bezsilni; albo zginiecie, albo zbawi was przypadek.

\*) Zdziechowski używa tej nazwy, nie — G. P. U.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

## DO NIEZNANEGO PRZYJACIELA

Już po raz piąty chyba odczytuję artykuł poświęcony mi przez doktora Apolinarego Żukowskiego i zamieszczony w „Wierze i Życiu“ (listopad, 1937) i za każdym razem poddaje się uczuciu, które nazwałbym radosnym zdumieniem, że katolik o duchowym profilu tak wyrazistym i jasnym znajduje dla mnie, człowieka stojącego na przeciwnym odcinku frontu ideowego, słowa tak uprzejme, dziwnie zobowiązujące, życzliwe. Zostałem tą jego postawą zaskoczony. W moich doświadczeniach i zbudowanych na nich przekonaniach zrobił ten nieznany przyjaciel duży wyłom, przez który wdziera się do serca fala uczuć najlepszych, jakie zbudzić może człowiek w człowieku.

Dotychczas bowiem było tak, że gdy otrzymywałem wycinki z tych pism katolickich, które interesowały się moją publicystyką, to zawsze pod nagłówkiem wyniosłym, obrażającym, poniżającym mnie jako przeciwnika i człowieka. Co więcej, wszystkie te wycinki, inspirowane zawsze przez to samo źródło, nigdy nie troszczyły się o prawdziwość czy choćby elementarną ścisłość. Zawsze tych wycinków przychodziło dużo, tak dużo, iż niepodobieństwem było dla człowieka ciężkiej pracy korygować opinię, jaką mi one u moich współobywateli wyrabiały, niestety, z niedobrą premedytacją. Zawsze znajdowałem swoje nazwisko pod grubym nagłówkiem bezbożnictwa, żydo-komuny, masonerii i zawsze z sumaryczności i stylizacji komunikatów wyzierała nienawiść, która oczywiście bolała.

Dam drobny przykład. Przed paru miesiącami napisał do mnie pewien redaktor krakowski, że zamierzają tam wydać jednodniówkę „Protest“ dla uczczenia pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego, w związku z nieposzanowaniem jego wiecznego spoczynku przez arcybiskupa krakowskiego ks. Sapięę. Należałem do tych, którym było żal, że arcybiskup Sapięę nie uszanował tej czci, jaką naród otacza postać Pierwszego Marszałka Polski i powiedziałem w swym artykule, że tysiąc Sapięę to jeszcze nie Piłsudski. Ani słowa przeciwko kościołowi czy katolicyzmowi, jak wogóle w całej jednodniówce nic podobnego nie było. Lecz oto zaczęły przychodzić znane mi już dobrze wycinki i znalazłem się pod nagłówkiem wydrukowanym grubymi czcionkami: *Wielka ofensywa bezbożników przeciwko kościołowi katolickiemu.*

Mam wśród katolików przyjaciół i ludzi mi serdecznie bliskich, których za żadne skarby nie chciałbym nigdy dotknąć w ich uczuciach religijnych, a tem mniej obrazić. Ale cóż było robić? Obchodzić ich i tłumaczyć im, że te pisma katolickie, które przedrukowały komunikat prasowy pewnej agencji, zostały źle poinformowane? Przecież tem dopiero dotknąłbym prawdę i uczucie! Czy może należało porożysłać im kopje swego artykułu albo numery owej „jednodniówki“, aby się przekonali, jak jest istotnie? Czy może wreszcie należało zwrócić im uwagę, iż w komunikacie niema ani jednego zdania z całej jednodniówki, ale całe oskarżenie o bezbożnictwo oparto na cytacie z książki pisarza, któremu w owej jednodniówce poświęcono artykuł? Ręce prosto opadały i trzeba się było pocieszyć jedynie tem, co Boy-Żeleński już przed laty napisał o wartości informacyjnej tych komunikatów w książce swej „Nasi okupanci“ na stronie 42 i dalszych.

To się zresztą powtarzało tak systematycznie i szablonowo, że wreszcie przestawało interesować i obchodzić. Widać tak już musi być. Ktoś tam kłamię przemilczeniami, stylizacjami, wykrętami,

aby tylko poniżyć przeciwnika. Ktoś tam pojęcia nie ma, jaką potęgą jest czysta prawda i jaka siła jest w miłości. Myślałem nieraz o tych słowach księży francuskich, którzy po bytności w Polsce ujemnie charakteryzowali polską prasę katolicką, cieszyła mnie świadomość wysokiego poziomu prasy katolickiej w Niemczech, Francji, Anglii i z dużym zadośćuczynieniem odczytywałem słowa ks. M. S. Gilleta w jego pracy „Kształtowanie charakteru“: *„Ileż to razy powtarzałem, iż zanim staniemy się chrześcijanami i właśnie na to, by się nimi stać, musimy być wpiereg uczciwymi ludźmi“.* Ta kolejność — przyznam się — niepokoiła mnie bardzo, bo zawsze mniemałem, że kto stał się chrześcijaninem, ten stoi niewymiernie wyżej od każdego „uczciwego człowieka“, że w samym pojęciu chrześcijaństwa zawarta jest rzetelność, uczciwość, umiłowanie prawdy i szacunek dla niej, rycerskość.

Dlatego po trzydziestoletniej niemal pracy piarskiej artykuł Apolinarego Żukowskiego i to jeszcze zamieszczony w wydawnictwie księży Jezuitów, stał się wydarzeniem dla mnie. Spoglądam wstecz i jako niegdyś wspólny współpracownik „Myśli Niepodległej“ Andrzeja Niemojewskiego myślę, czy te niezliczone polemiki i spory, które toczyły się w atmosferze obustronnej nieżyczliwości i najróżniejszych uprzedzeń, nie mogły być toczyć się w tonie właśnie takim, jaki zainaugurował dr. Apolinarego Żukowski i do jakiego automatycznie zobowiązał mnie? Ileż złego byłoby się dało uniknąć! Bo przecie każda postać rozdwojenia jest dla społeczeństwa szkodliwa. Pamiętam jeszcze, z jakim uznaniem odzywał się Andrzej Niemojewski o ks. Charszewskim, gdy ten po napisaniu jakiejś książki wymierzzonej przeciwko wolnomyślicielstwu (bodaj że była to „Wtóra podróż do Ciemnogradu“), sam zaniósł egzemplarz swej pracy najbardziej zaciętemu przeciwnikowi ideowemu.

Toteż po przeczytaniu pierwszych uwag Żukowskiego o moim artykule byłem ogromnie daleki od myśli o wydawaniu sądu o praktyce katolików a tem dalszy od wydawania „sądu surowego“. Wypowiedziałem poprostu swoje doświadczenia osobiste w stosunkach z prasą katolicką i z tą praktyką licznych ludzi, którzy postępowaniem swoim są niesłychanie daleko od wzniosłych zasad etyki katolickiej. Być może, iż powinienem był wypowiedzieć się mniej sumarycznie. W najbliższym swem sąsiedztwie mam cichego przyjaciela, bardzo gorliwego katolika, który, gdy czasem trzeba komuś pomóc w taki czy inny sposób, nie omija mnie powodu moich odmiennych przekonań. Ten człowiek, pracujący ciężko w biurze i nie opływający w nadmiar dóbr, samą postawą swoją powiedział mi o katolicyzmie daleko więcej, niż mogłaby powiedzieć wielka księga erudyty. Gdybym miał majątek i gdybym poszukiwał człowieka godnego bezwzględnej zaufania, temu sąsiadowi swemu powierzyłbym bez wahania wszystko z najgłębszym przekonaniem i pewnością, że nie zostałbym zawiedziony. Jest to człowiek, który o katolicyzmie mówi niewiele, ale nim żyje, oddycha nim. Niestety, obok takich pięknych, szlachetnych typów spotyka się inne, które przez jakieś dziwne nieporozumienie czy niezrozumienie, na każdy odmienny sposób myślenia reagują nienawiścią i pragnieniem panowania nad innymi.

Powiedziałem w swoim artykuliku, który dr. Żukowski analizuje i koryguje, że „encykliki papieskie są czemś tragicznie pozadziejowem“. Po-

wiedziałem to nie bez żalu. Już Goszczyński ubolewał, że katolicyzm nie potrafił nas wszystkich zespolić serdecznie, uczynić z nas jedną zwartą, kojącą się rodzinę. I dziś, zdaje mi się, jest to samo. Jesteśmy rozbici, zatimizowani przez partje i partyjki. Katolik z prawicy patrzy nieufnie na katolika ludowca, członek partji konserwatywnej jakoś nie dostrzega brata w członku partji chłopskiej, a przecie według zasady katolickiej są to bracia nieskończenie bliżsi sobie, niż bracia zrodzeni z tej samej matki i z tego samego ojca. A tak niewiele potrzeba, aby zrozumieć istotę tego braterstwa! Przed laty siedziałem przy biurku i pisałem jeden ze swoich artykułów liberalnych, antyklerykalnych, radykalnych. Nie zauważyłem, jak wszedł do mnie jakiś braciszek zakonny w znoszonym habitie i stanąwszy u drzwi, prosił o datek na szpital. Nietrudno rzucić złotówkę na odczepne: masz i idź! Ale odczułem żywą potrzebę powiedzenia temu braciszczkowi, że jestem kalwin i liberał i czy nie będzie mu przykro przyjąć ode mnie ofiarę? Odpowiedział mi cicho i skromnie, że zdarza mu się owszem wejść do mieszkania niekatolików, ale nie szuka wszak wyznania, lecz szuka współczucia dla dzisiejszych i jutrzejszych nieszczęśliwych. Znikła w jednej chwili odległość między nami, proste, ludzkie współczucie zjednoczyło nas mocno. Serdecznie chętnie podałem mu ofiarę, uściśniliśmy sobie ręce i rozstaliśmy się bez słowa, którego zresztą wcale nie było potrzeba. Wspominam go czasem i myślę o nim jak o bracie. Dzień powszedni ma tyle sposobności do zbliżania i jednoczenia ludzi. Ale fakt jest faktem, że katolicy bywają sobie straszliwie dalecy. Niestety.

Dr. Żukowski jako przykład, że jednak encykliki papieskie robią swoje, przytacza między innymi wskazania papieża Leona XIII zawarte w encyklice *Rerum novarum*. Otóż przywykłem patrzeć na tę encyklikę jako na manifestację niewspółmiernie cichą i ostrożną w porównaniu z tem, co się właśnie już oddawna działo. Robotnicy organizowali się, tworzyli potężne zrzeszenia, gotowi byli do walki już nie tylko o sprawiedliwe wynagrodzenie, ale o nowe podstawy ustroju społecznego. Już od 1871 roku zaczyna się ubezpieczanie robotników w Niemczech (nieszczęśliwe wypadki, choroba, inwalidność, bezrobocie — nie od razu, ale stopniowo). W roku 1890 młody cesarz niemiecki, Wilhelm II, zwołuje do Berlina międzynarodową konferencję, mającą na celu sprawę ochrony pracy i robotników, ochrony ustawowej, niezależnej od czyjejś dobrej woli jedynie. Encyklika *Rerum novarum* ukazała się w jakieś czternaście miesięcy po tym pierwszym kongresie. Podziwiam zawsze jej stylizację pełną umiaru i rzetelności, ten mocny apel do serca i sumienia, tę troskę w niej zawartą, aby walki społeczne nie zniszczyły drogocennego dorobku stuleci, ale nie umiem się oprzeć wrażeniu, że chodziło tu raczej o złagodzenie walk społecznych i ich groźnych skutków, niż o inicjatywę, którą kościół wydrzeć sobie pozwolił. Nie śmiałbym przeczyć, że ta encyklika wywarła wpływ w kołach katolickich, ale wiem z drugiej strony, iż nawet we Francji katolickiej spoglądano na papieża Leona XIII z przerażeniem, jako na wielkiego i niebezpiecznego radykała. Z drugiej strony wszystko, co robotnicy zdobyli w postaci wynagrodzenia, godzin pracy, opieki społecznej itd. jest dziełem prądów i nurtów nie kościelnych, ale raczej przeciwkościelnych. Nie katolicy nadawali tu ton, lecz przystosowywali się raczej do tego, co stworzyły organizacje wybitnie laiczne. Jeśli mój pogląd jest mylny, przyjmę chętnie pouczenie w tej sprawie.

Druga rzecz, to sprawa skwapliwego umiłowania przeciwników, nie — nie przeciwników, ale ludzi innych poglądów i przekonań. Moja skromniutka broszura „Matka Jezusa, matki bogów, królowe niebios“ to drobny i w gruncie rzeczy nie taki ważny przykład. Przez dziewięć lat była w handlu księgarskim, nie zwracając na siebie szczególnej uwagi, bo temi zagadnieniami interesuje się w Polsce mało kto i raptem — — konfiskata. Bluznierstwo? Nie podobnego! Wiedza, którą mi narzuciło życie. Jako mały chłopak bywałem wyśmiewany, że jestem heretyk i wcześniej zacząłem się interesować zagadnieniami religijnymi, a gdy znalazłem się na uniwersytecie, poszedłem za głosem serca, chcąc mieć pewność. Uczyłem się tych rzeczy, gromadziłem latami książki religjologiczne i dzisiaj cały ten kapitał duchowy został zdewaluowany — przez kogo? I dlaczego? Inteligencji jest w Polsce garstka i takie rzeczy jak moja broszura nie docierają do sfer bezkrytycznych, które mogłyby gorszyć. Zresztą nie spotkał mnie zaszczyt krytyki katolickiej, którąby mi powiedziała, że się mylę i nie mam racji. Mechaniczne zamykanie ust komukolwiek ma w sobie zawsze coś upokarzającego. Każecie milczeć, muszę milczeć, bo rozporządziacie środkami mechanicznymi nakazania mi milczenia, ale czy to jest argument? Argument w duchu Chrystusa? „Idźcie i nauczajcie“ — mówi Chrystus, a nie: „Idźcie i konfiskujcie“.

Artykuł Apolinarego Żukowskiego dał mi bardzo wiele. Wierzę głęboko, że takich ludzi, jak on, ma katolicyzm więcej. Jeśli o nich nie wiemy, to może dlatego, iż są skromni i nie wysuwają się na czoło, nie chcą przodować. Szkoda! Gdyby właśnie tacy pisarze częściej zabierali głos, gdyby nam przykładem własnej postawy pokazywali, czem katolicyzm być może nawet w stosunku do tych, których

## WIELKI KONKURS POETYCKI „SYGNAŁÓW“

1. „Sygnały“ ogłaszają konkurs na utwór poetycki, w rozmiarach **nie przekraczających 100 wierszy.**
2. W konkursie mogą brać udział tylko ci poeci, którzy **nie ogłosili jeszcze tomu poezji w formie książki.**
3. Utwory (pisane wyraźnie, na jednej stronie papieru — pożądane maszynopisy) należy nadsyłać pod adresem „Sygnałów“ (Lwów, Hauke Bosaka 12) w terminie **do dnia 25 stycznia 1938 r.** w kopercie z napisem „Konkurs poetycki“.
4. Konkurs jest tajny. **Utwory powinny być oznaczone godłem. Do każdego utworu należy dołączyć kopertę, zaopatrzoną w godło utworu i zawierającą wewnątrz imię, nazwisko i adres autora.**
5. Do każdego utworu należy dołączyć **dwa kolejne kupony**, zamieszczone w nr. nr. 36 (kupon nr. 1) i 37 (kupon nr. 2) „Sygnałów“.
6. Redakcja ustanawia trzy nagrody: I—zł. 150.—, II—zł. 100.—, III—zł. 50. Jury ma prawo w granicach ogólnej sumy (zł. 300.—) łączyć i dzielić nagrody wg. własnego uznania.
7. Poza nagrodami pieniężnymi jury przysługuje prawo do odznaczenia szeregu utworów nagrodami w postaci książek.
8. Redakcja zastrzega sobie prawo druku utworów nagrodzonych i odznaczonych.
9. W skład jury wchodzi: **Władysław Broniewski, Tadeusz Hollender, Ostap Ortwin, Julian Tuwim, Karol W. Zawodziński.**

ADAM PRÓCHNIK

## TRZY REWOLUCJE HUMANISTYCZNE

Humanistyczna idea wyzwolenia człowieka jest naczelną ideą wieków nowożytnych. Jeżeli sens historyczny jakiejś epoki da się sprowadzić do jednej, podstawowej zasady, do jednego najwyższego celu, dla nowożytności celem tym będzie człowiek, tak jak dla średniowiecza był nim Bóg. Na tem polega główna różnica epok. Wieki średnie przechodziły nad człowiekiem do porządku dziennego. Cała działalność społeczna skierowana była ku Bogu. Nauka, sztuka, budownictwo. Idea średniowiecza była nie tylko pod względem pozytywnym religijna, nietylko miała charakter tego, co Rosjanie nazywają „bogoiskatelstwem“ (poszukiwaniem Boga), ale miała również swój wyraźny odcień negatywny: antyhumanistyczny, przeciwczłowieczy, znajdujący swój najwyższy wyraz w ascezie.

Nowożytność jest buntem człowieka przeciw średniowieczu. Idea wyzwolenia człowieka jest sztandarem całej epoki dziejowej. Nowożytność jest zatem epoką humanizmu. Należy sprostować poglądy, uważający humanizm tylko za pierwszą fazę epoki nowożytnej, za jakiś okres wstępny, który skończył swoją rolę z chwilą usunięcia ekskluzywności teologiczno-religijnej, za przejście od średniowiecza do nowożytności. Bowiem nie laicyzacja szeregu dziedzin życia, ale wyzwolenie człowieka, całkowite wy-

uważa za swoich przeciwników, zyskałaby na tem cała Polska. Bywa przecie tak straszliwie smutno, gdy się patrzy na orgię nienawiści partyjnej, na te bezustanne wzajemne napaści w prasie i poza nią, na niekończące się procesy o oszczerstwa, kłamliwe oskarżenia i Bóg wie o co tam jeszcze. Czy najpotężniejsza w Polsce organizacja, jaką jest niewątpliwie katolicyzm, nie byłaby powołana do lania oliwy na wzburzone fale? Nie trzeba tu niczego osobliwego, lecz jedynie świadomości, że każdy na swoim miejscu jest świadkiem wartości etycznej tego, co wyznaje, co uważa za duszę swej duszy.

Z głębokim podziwem biorę zawsze do ręki wspaniałe publikacje katolików angielskich, niezna- cznej mniejszości wyznaniowej w Anglii, z wielką przyjemnością rozczytuję się w pięknie i mądrze redagowanych miesięcznikach katolików francuskich, nie można nie podziwiać kardynała Faulhabera, który mężnie i spokojnie broni swej wiary w rasistowskich Niemczech... Tak, ale gdy potem bierze się raptem w rękę polskie piśmiennictwo kleryczne, operujące wyzwiskami i kłamstwami — może nieświadomości? — robi się dziwnie smutno. Katolicyzm katolicyzmowi nierówny. Wrócił niedawno miły znajomy z Belgii i opowiadał mi o katolickiej kulturze belgijskiej, dziele katolików tego niewielkiego kraju. Siedzieliśmy i doznawaliśmy uczucia bardzo podobnego do zawiści, a potem doszliśmy do wniosku, że musimy nauczyć się kochać wzajemnie i oduczyć tej nienawiści, która nas rozproszkowie.

Oto co chciałem powiedzieć nieznanemu przyjacielowi i nietylko jemu. Jego piękna i wytworna postawa wobec mnie każe mi uważnie zrewidować moje poglądy i uprzedzenia wobec katolicyzmu. Wiem ponad wszelką wątpliwość, że gdyby kiedykolwiek miała spotkać jaka przykrość takich ludzi i gdyby ode mnie zależało zapobiec jej, uczyniłbym to, uczyniłbym to musiał. Na nienawiść niezawsze odpowiada się nienawiścią, na wyraz życzliwej przyjacielskości odpowiada się zawsze miłością. Odrzućmy tylko raz nazawsze uprzedzenia! Istnieje piękna przypowieść wschodnia na nasz temat. Przytaczam ją:

Pewien człowiek musiał wyruszyć w drogę, gdy jeszcze było ciemno. Gdy wyszedł za miasto, ujrzał w szerokości brzasku jakieś zwierzę, idące ku niemu, i przeraził się. Ale że iść musiał, więc kryjąc się za krzewami i nierównościami gruntu, szedł dalej. Gdy pojaśniało, spostrzegł, że to nie zwierzę idzie mu na spotkanie, ale człowiek. Uspokoił się nieco i raźniej ruszył naprzód. Gdy się rozwidniło i podszedł całkiem blisko owego człowieka, spostrzegł, że idzie ku niemu jego własny brat.

Doświadczenie stare jak świat: zwierzę, człowiek, brat... Trzeba tylko dobrze patrzeć, odrzucając precz czarne okulary partyjnicztwa, rasizmu i tego wszystkiego, co nas dzieli. Łączy nas nieskończenie więcej. Ież to napisałem o Jezuitach i jezuityzmie! A teraz właśnie w organie księży Jezuitów spotykam się z taką życzliwą postawą! Jaka szkoda, że pisarzy katolickich jak dr. Żukowski jest tak mało! Gdy artykuł ten wyjdzie drukiem, będziemy w zasięgu cudownych słów o pokoju ludziom dobrej woli. Byłbym szczęśliwy, gdyby ta postać pokoju znalazła w Polsce jak najwięcej apostołów. Czasem zdaje mi się, że należałoby założyć jakąś ligę wzajemnego poznawania się. Znamy tak wiele obcych krajów i obcych narodów, czy nie czas spojrzeć uważniej na brata najbliższego i przestać odwracać się od niego dlatego jedynie, iż ma inne poglądy na niektóre rzeczy i że może należy do innej partji?

Paweł Hulka-Laskowski

zwoleń, jest celem humanizmu. Wyzwolenie człowieka jest celem wielkim, trudnym, wymagającym gruntownego przekształcenia wszystkich podstaw życia, a realizacja tego celu stanowi zadanie, przerażające możliwości jednego pokolenia lub jednej, krótkiej fazy historycznej. Humanizm jest najistotniejszą treścią całej epoki nowożytnej. Dzieło tej epoki nie może być uważane za ukończone, póki idea humanizmu nie zostanie w całej pełni zrealizowana. Nowożytność, to proces historyczny humanizmu.

Proces ten rozgrywa się w szeregu faz. Jest on w swej istocie rewolucyjny. Rozpoczął się jako bunt przeciw średniowieczu. Ale potem na drodze swej napotkał wszystkie formy niewoli, wszystko, co krępuje człowieka w jego swobodnym rozwoju. Drzewo niewoli wrosło głęboko korzeniami w ustrój społeczeństwa. Zagadnienie humanizmu, to zagadnienie potężnego przełomu. Przełom ten nie jest jednym, choćby najpotężniejszym aktem rewolucyjnym, lecz wielkim procesem rewolucyjnym, rewolucją o wielu fazach.

Trudno kusić się o obraz tego procesu realizacji idei nowożytnej humanizmu, który rozgrywa się już od wielu wieków i nie dobiegł jeszcze do swego kresu. Ale zarysowuje się dość wyraźnie jego linja kierunkowa. Istnieje możliwość stwierdzenia faz przełomu, które już się zrealizowały, miejsca, do którego doszliśmy, i zadań, które muszą jeszcze zostać dokonane.

Będzie to może tylko schemat. Zdajemy sobie sprawę z wad, nieodłącznych od tego sposobu przedstawiania procesów rozwojowych. Rozumiemy dobrze, że wyobrażenie sobie procesu ciągłego w postaci faz i okresów ma charakter sztuczny. Wzbudzone fale dziejowe nie poddają się ścisłej systematyzacji. Ale człowiek odczuwa potrzebę orjentowania się nawet w czasie burzy dziejowej. Schemat służy właśnie do orjentacji, do przybliżonej choćby oceny kierunku procesu, drogi minionej i odległości od celu.

Rewolucyjny proces humanizmu rozdziela się w oczach naszych na kilka faz dziejowych. Wyzwolenie człowieka dokonywa się nie w jednej rewolucji, ale w trzech wielkich procesach rewolucyjnych. Dwie z nich już przeszły, trzecia ostatnia, decydująca rozgrywa się obecnie, jest dziełem i zadaniem naszej epoki, spada na barki naszego pokolenia. Dzieje nowożytne ludności podzielić możemy na trzy rewolucje pod hasłem humanizmu, trzy okresy przełomu.

TADEUSZ HOLLENDER

## SĄD NAD ZDRAJCĄ OJCZYZNY

*Więc zapalono świecznik bardzo gorejący, na stole postawiono Ukrzyżowanego, zatem sędziów dwunastu w orderach jak słońca patrzyło w judaszowe lica Trzynastego.*

*Więc czytano zarzuty — monotennie, długo, recytowano winy, za które odpowie, prokurator zabłysnął słów wymownych strugą, aż w krzyżach paragrafów przechodziło mrowie.*

*„— Oskarżamy cię zdrajco! — (huczał oskarżyciel), o zdradę narodowych znaków i sztandaru, że o własnych rodakach pisał jadownicie, że kochał innych więcej, niż swój własny naród.*

*Oskarżamy, że wzywał możnych na tej ziemi, by oddali biedakom całą własność swoją, co jest, mówiąc słowami bardziej właściwymi, nawoływaniem jawnem do zmiany ustroju...*

*I skarzę o bluźnierstwo Jedynemu Bogu, gdy bluźnił, że go każdy chwali jednakowo, gdy nawoływał wreszcie do miłości wrogów, co jest zbrodnią i znowu zdradą narodową!!“*

*I sypały się słowa jak natchnione ziarna... Lec Oskarżony w myślach swych się zapamiętał, bo śniła mu się zieleń, śniła ziemia czarna, i lasy i w tych lasach ptaki i zwierzęta.*

*I ludzie, którym miłość nienawistną wyznał. Wszystko żegnał nieśmiałym, dalekim uśmiechem, świat, który swoją wielką nazywał ojczyzną, gdy ojczyzna mu cnoty uznała za grzechy.*

*Dziwny był sąd. Zaiste. Z okien światło blade padało i różowo oblepiało ściany... Sąd wyszedł nad wyrokiem odbywać naradę, a oskarżony czeka. Sam. Z Ukrzyżowanym.*

Wiersz wyjęty jest z tomu poezyj p. t. „Ludzie i pomniki“, mającego się wkrótce ukazać nakładem F. Hoesicka.

Za pierwszą rewolucję humanistyczną uważamy okres klasycznego humanizmu, okres buntu przeciw średniowieczu. Tę pierwszą rewolucję określamy jako rewolucję duchową. Dzieło wyzwolenia człowieka, otworzenia mu dróg do rozwoju, zostało wtedy w tej jednej tylko, duchowej dziedzinie przeprowadzone. Potraktowano zagadnienie w oderwaniu od podłoża. Wyzwolenie ducha wydawało się spełnieniem całego zadania. Za więzami duchowymi nie dojrzano, bo dojrzeć nie chciano, więzów politycznych i społecznych. Cieniotka była warstwa społeczna, która tej rewolucji dokonała. Jej interesy klasowe zaciążyły nad dziełem rewolucji. Zrzucano kajdany przywiązujące człowieka do nieba, zachowano kajdany, przykuwające go do ziemi. Cel humanizmu nie został urzeczywistniony. Człowiek nie został wyzwolony. Przeszkody, hamujące rozwój osobowości ludzkiej, zostały utrzymane. Wyzwolenie duchowe stało się udziałem garści ludzi.

Czyżby należało rewolucję humanistyczną XV i XVI w. uważać za akt historycznego fałszu? Czy treść klasowa owego przełomu pochłonęła ideę bez reszty? Naszem zdaniem — nie. Rewolucję tę uważamy jednak za pierwszą fazę przełomu. Przypadła jej rola pionierska. Jej wielka rola historyczna polega na tem, że zagadnienie zostało postawione, że problem został sformułowany. Wielkie, pionierskie znaczenie idei nie zmniejsza się wcale przez to, że idea nie została bezpośrednio wprowadzona w życie. Narodziny idei są same przez się faktem przełomowym. Najważniejsze, aby zagadnienie zostało postawione na porządku dziennym. A gdy raz problem zostanie ludzkości rzucony, gdy raz stanie na porządku dziennym, nie może już z niego zejść, póki nie nastąpi realizacja.

Druga rewolucja pod hasłami humanizmu rozegrała się z końcem XVIII w. i objęła swym wpływem znaczną część wieku XIX. U podstaw Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która tę epokę zapoczątkowała, leżą idee humanistyczne, które znalazły manifestacyjny wyraz w deklaracji praw człowieka i obywatela. Drugą rewolucję humanistyczną określamy w odróżnieniu od pierwszej, jako rewolucję polityczną. Nie oznacza to, rzecz jasna, abyśmy nie zdawali sobie sprawy z społeczno, klasowego charakteru tej rewolucji. Z punktu widzenia jednak problemu przełomu humanistycznego, nad którym się tu zastanawiamy, rewolucja ta była polityczna. Zagadnienie wyzwolenia człowieka rozwiązywała ona na drodze politycznej, tak jak pierwsza czyniła to na drodze duchowej.

Był to ważny krok naprzód. Zjawilo się zrozumienie, że wyzwolenie człowieka wymaga gwarancji politycznych, że człowiek musi być chroniony przed zamachami na jego wolność, przed arbitralnością rządów, dysponujących nieograniczoną siłą przymusu. Rewolucja deklaruje niezaprzeczalne prawo człowieka do wolności i pragnie pomocy całego szeregu praw obywatelskich, praw politycznych, stworzyć pełne gwarancje wolności, zrealizować to, czego nie potrafiła dokonać epoka klasycznego humanizmu.

Rewolucja duchowa postawiła zagadnienie, sformułowała problem. Rewolucja polityczna uczyniła ważny krok na drodze do realizacji idei humanizmu. Nie trzeba chyba przekonywać, że nie rozstrzygnęła zagadnienia, że proces nie został doprowadzony do kresu. Na rewolucji tej zaciążył znów jej charakter klasowy. Rewolucja burżuazyjna zatrzymała się tam, gdzie kończył się interes burżuazji. Gwarancje polityczne wolności ludzkiej zostały przeprowadzone połowicznie, gwarancji społecznych nie stworzono żadnych.

Ale idea zerwania więzów duchowych i politycznych zbliżyła ludzkość do sedna zagadnienia, do tych więzów, które najsilniej krępują rozwój duchowy człowieka. Dokopano się wreszcie do najistotniejszych źródeł niewoli.

I oto teraz przeżywamy trzecią rewolucję humanistyczną. Określamy ją jako rewolucję społeczną. W walce o ideały humanizmu jest to rewolucja ostatnia. Dopiero ona urzeczywistnia problem postawiony przed pięciuset laty i spełnia zadanie wieków nowożytnych.

Dokonywający się w naszej epoce proces przełomu społecznego ma swoje bezpośrednie cele. Ale jeżeli istnieje jakaś hierarchja celów, cele te nie są ostateczne. Sprawiedliwość społeczna to droga do wolności duchowej. Przełom społeczny pociąga za sobą jako logiczną konsekwencję wyzwolenie zdolności twórczych ludzkości. Ostatecznym, najwyższym celem socjalizmu jest wyzwolenie człowieka, realizacja humanizmu. Do takich rezultatów prowadzi filozofja materialistyczna. Socjalizm przynosi w konsekwencji wyzwolenie człowieka od nacisku warunków ekonomicznych. Póki ten nacisk istnieje, duchowy rozwój człowieka jest zahamowany i humanizm nie może się urzeczywistnić. Socjalizm to zwyczajnie humanizm. Pierwsza rewolucja — duchowa — postawiła zagadnienie. Druga rewolucja — polityczna — wytworzyła masowe dążenie do humanizmu, a dając polityczne gwarancje wolności jednostki, dotarła do najistotniejszej przeszłości — zależności ekonomicznej. Trzecia rewolucja — społeczna — realizuje cel wieków nowożytnych i kończy proces historyczny pełnego wyzwolenia osobowości ludzkiej.

JAN KOTT

## PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO AWANGARDY

Wielkość swą nie zawdzięcza Rimbaud temu, co napisał — mówi jeden z bohaterów „Falszerzy“ Gide'a — jest wielki, ponieważ miał odwagę zerwać z literaturą. Niesamowite wizje, spasionowane nienawiścią Lautréamonta i nowa apokalipsa — „Po-byt w piekle“ dziewiętnastoletniego Jana Artura, zawisły jak obłok grozy nad poetycką awangardą Zachodu. Wpływ, który wywarły, nie płynął z piękności formy. Były przejmującym świadectwem jednej z najbardziej zuchwałych przygód duchowych, najdalej posuniętym buntem przeciwko nędzy „doli człowieczej“, nieostyglym jeszcze śladem walki o pełną wolność umysłu. Po Apollinaire drogą tą poszli nadrealiści, poezja była dla nich nie celem, lecz środkiem, metodą zorganizowanego szaleństwa; w befkocie dziecka, w sennym marzeniu, w dżungli podświadomości szukali tropów niezafałszowanej prawdy człowieka, uparcie ścigając ideał permanentnej rewolucji, którą rozwinęła zarazem sprzecznosci metafizyczne i społeczne. Inni, jak Reverdy, Jouve czy Superville, próbowali przedrzeć się przez zasłonę zmysłowej rzeczywistości świata, odsłonić dno. To był jeden nurt awangardy Zachodu, w którym chodziło o coś więcej od pisania pięknych wierszy. Była to droga wielkiej przygody. Barbarzyński krzyk futurysty z jego kultem świecidełek i bałwochwalstwem małego bożka techniki — był tylko przemijającą fazą wielkiego ruchu prawdziwych bogi- i obrazoburców.

Nową lirykę unosił nurt jeszcze inny. Od Baudelaire'a, pierwszego poety naszej epoki, poezja zmagająca się z prozą. Niedościgny ideał poezji czystej prowadził nowatorów do walki z retoryką, to zadanie spełnili już symboliści. Awangarda dążyła do odsłonięcia i ukazania ukrytego nerwu liryki, ostatecznej i nierozkładalnej rzeczywistości poetyckiej. Jest jakieś bohaterstwo w tej trwającej już trzeci dziesiątek lat stopniowej rezygnacji z wszelkich uroków poetyckich — anegdota, rymu, rytmu, muzyczności, obrazowości nawet, w bezlitosnym poszukiwaniu granic liryki. Ale awangarda szła nie tylko drogą negacji, kształtowała także nowe środki wyrazu, własny i niezależny język poezji. Na tej drodze jednak, poszukiwań czysto estetycznych, nie były najważniejsze t. zw. zagadnienia formalne. Nowatorzy uwolnili lirykę z obowiązków wierności wobec rzeczywistości pozapoetyckiej, obojętne — przyrodniczej, psychicznej czy logicznej. Tak narodził się postulat antynaturalizmu. „Pozwala się robotnikom ujarzmić świat — pisał Apollinaire w szkicu o malarstwie kubistycznym — a ogrodnicy mniej dziś mają szacunku dla natury od artystów. Nad-szedł czas panowania“. Nowa sztuka uznała *specificum* rzeczywistości poetyckiej, przyznała prawo artyście do nieskrępowanego kształtowania wizji. Poezja stała się, sparafrazując słowa Przybosa, skrzydłem swobodnej myśli. Taki był drugi nurt awangardy, nurt estetyczny — droga eksperymentu.

O tym dwójce charakterze wielkiej herencji współczesnej, jaką była i jest nowa sztuka na zachodzie Europy, trzeba zawsze pamiętać, kiedy przystępuje się do rozważań o polskiej awangardzie. Jej początkową ideologią był szerzony przez Peipera, naiwny dziś dla nas, kult cywilizacji, współczesności postępu. Nie trwał on długo, a z chwilą gdy prysł, pozostała awangardzie tylko ideologia poetycka. I to stało się dla kierunku rozwoju awangardy momentem niemal decydującym.

Siedm lat, które upłynęły od wydania pierwszego numeru „Linji“, tak gruntownie przekształciły oblicze poezji w Polsce, że warto pewne rzeczy przypomnieć. Czterech poetów (Brzękowski, Czuchnowski, Kurek, Przybós), których wierszy nikt wtedy nie chciał drukować, których tomy spotykały się albo z drwinami, albo były przemilczane, zakłada pismo i rozpoczyna fanatyczną walkę z całą poezją i krytyką polską. W imię czego?

Każdy ideał poezji jest zawsze w swoich ostatecznych przedłużeniach afirmacją pewnych wartości człowieka, apologią określonej postawy duchowej. Brak ogólnej ideologii kulturalnej zmusił krakowskich nowatorów do zamknięcia się w kręgu zagadnień czysto poetyckich („Linja“ wpisana w koło — jak pisały „Zagary“), do walki o niezależne, autonomiczne wartości poetyckie, do wysunięcia na pierwszy plan spraw techniki poetyckiej. Na dnie krył się jednak postulat etyczny — nakaz nowatorstwa, bezwzględna pochwała eksperymentu. Taki był pion ideowy „Linji“, stąd czerpała ona swą siłę i pasję walki, chodziło w niej o samą zasadę twórczości, o bezkompromisowość artysty, o „imponderabilia poetyckie“. Tego rodzaju stanowisko groziło jednak poważnym niebezpieczeństwem. Hierarchia zagadnień poetyckich ulegała odwróceniu. Kształt narzędzia, to jest środka wyrazu, stawał się ważniejszy od celu, do którego miał zostać użyty. „Linja“ przemieniła się w wielkie laboratorium poetyckich formuł, Kraków stał się centralną fabryką nowoczesnej broni lirycznej. Granaty, które wtedy ładowano, naprawdę wybuchają i palą ręce, wiersze budzą protesty, ale oddziaływały. Eksperymenty były śmiałe, nowe i potrzebne. To była jednak

rewolucja w poezji. W roku 1933 razem z ostatnim numerem „Linji“ zakończył się okres poszukiwań formalnych, wspólnej pracy laboratoryjnej. Nad-szedł czas właściwej realizacji osiągniętych zdobyczy, przesunięcia zainteresowań poetyckich na sprawę całości wiersza, na sprawę roli poezji. Przeszto myśleć tylko o receptach, pomyślano przedewszystkiem o pacjencie.

Tymczasem rzeczywistość poetycka w Polsce uległa zmianie. Szczepionka awangardy przyjęła się i poza Krakowem. Lublin i Wilno stały się ośrodkami samodzielnych ruchów awangardowych, o innym od „Linji“ klimacie poetyckim, ale o niewątpliwiej bliskości zasadniczej postawy. Obok starej ekipy awangardy, z której ubył tymczasem Kurek, stanęli nowi poeci — Czechowicz, Flukowski, Miłosz. Pojęcie awangardy zatarło się, straciło swą ostrość, zaczęto obejmować tą nazwą zbyt wiele różnorodnych zjawisk poetyckich. Awangarda walkę o przyszłość poezji, zdawałoby się, wygrała. Pod jej urokiem i w sferze jej oddziaływań znajduje się prawie cała najmłodsza generacja poetów. Awangarda odniosła zwycięstwo, ale rodzi się teraz pytanie, w czym, w jakich swoich wartościach?

Po długiej fali wpływów Tuwima i rzeszy epigonów Skamandra, po krótkim okresie infiltracji widzeń Przybosa, a właściwie mechaniki jego przekształceń i budowy wiersza, powstała nowa, coraz liczniejsza szkoła uczniów Czechowicza. Dziś jest ona już ważnym zjawiskiem literackim; opróżnione przez Peipera miejsce papieża awangardy, coraz wyraźniej zajmuje Czechowicz. Zwycięstwo awangardy staje się jego zwycięstwem. Musimy przyrzec się tej poezji.

Poezję Czechowicza i jego uczniów nazywa się poezją czystą. Tak, to jest poezja czysta. Ale czystość poezji polega *tylko* na integralności poetyckich środków wyrazu, sprawą jest struktury wiersza, nie jego zawartości. Czysta poezja, to nie znaczy wcale poezja oczyszczona z namiętności, której

obca jest miłość, nienawiść i pasja poety. Czysta poezja może i powinna pulsować krwią, inaczej nie będzie nigdy wielką poezją. „Czystość poetycka jest czystością mineralną — powtórzmy za Maritainem — czystość jest cnotą ludzką“. Wiele wierszy Czechowicza posiada czystość krystalicznej wody, jego naśladowców wody... sodowej. Ideałem poezji nie może być woda, choćby nawet źródłana. Powtórzmy raz jeszcze: niema wielkiej poezji, wolnej od spraw i namiętności człowieka.

Poezje Czechowicza i jego szkoły nazywa się poezją wyobraźniową. Tak, ale są różne gatunki wyobraźni. Jest wyobraźnia niepokojąca, groźna, niebezpieczna i jest wyobraźnia oswojona, łagodna, harmonijna. Wyobraźnia Czechowicza wywodzi się z baśni ludowej — złote podkowy, słupy dymu, spienione rumaki, rusalki. Nie jest twórcza, jest przetwórcza. Chodzić powinno o wyzwolenie wyobraźni, a nie o poetycką eksploatację marzeń pastuszka.

Poezję Czechowicza i jego szkoły nazywa się poezją arealistyczną czy antynaturalistyczną. Tak, ale przecież znowu nie o to chodzi, aby zaprzestać odtwarzania natury; o wartości obrazów czy widzeń decyduje gatunek przekształceń, stopień stężenia wywołanej wizji. Kalkomanje przecież są najbardziej antynaturalistyczne, a nikt ich za wzór nie postawi malarzom. Wiersze nie mogą być kalkomanjami, a realne wizje stać się powinny drogą poetyckiego podboju świata, wielką metaforą stosunku poety do rzeczywistości. O poezji Czechowicza mówi się — to są ładne wiersze. One są bardzo ładne, jak przestana być ładne, staną się świetne. Ładność jest wrogiem piękna.

I wreszcie rzecz najważniejsza, wiersze te są bardzo nudne. U Czechowicza wynagradza nudę mistrzostwo poetyckie, u jego uczniów jest tylko sama stężona nuda. Tyle się już pisało o elephantiasis „krajobrazowania“ w nowej liryce, o tych setkach widocznych, wypełniających całe wiersze, przekształconych, przemienionych, zdeformowanych, zmetaforizowanych w sposób często zresztą poetycko świetny, ale już dziś niedowytężenia dla czytelnika. A przecież „krajobrazowanie“ nie stanowi odrębnego zagadnienia, jest koniecznym skutkiem przyjętej postawy poetyckiej.

Przewyciężony dawno przez krakowską awangardę okres kultu „chwytów“ i technicznych zdobyczy, odrodził się w sposób prawdziwie zastraszający w szkole Czechowicza. Ci „detaliści“ awangardy, jak ich określa Brzękowski, uważają, że wystarcza do napisania wiersza parę kręcznych metafor. Stąd płynnie nadużył motywu krajobrazowego, z którego najłatwiej jest stwarzać cacka techniki awangardowej. Ale właściwe przyczyny tkwią jeszcze głębiej. Z całej doktryny Peipera największy tryumf odniósł postulat wstydu i pośredniości uczuć. Prawdziwi nowatorzy nigdy mu nie byli posłuszni. Epigonom awangardy zamknął on usta, sprawił, że nawet dla samych autorów własne ich wiersze przestały być interesujące. Werbalizm potomków awangardy staje się dużo gorszy od dawnego werbalizmu Skamandra.

Oczywiście, nie można porównywać Czechowicza z żadnym z jego uczniów. To, co u autora „Nic więcej“ jest uczciwie dopracowanym i poetycko doskonałym kształtem, u uczniów staje się gratisową pożyczką i jedną jeszcze więcej łatwizną. Ale postawa poetycka i klimat psychiczny — całej szkole jest wspólny. I w tem kryje się zarówno jej doniosłość, jak i niebezpieczeństwo. Jej poetycki ideał to śpiewna, dziecięca kołysanka. Poezja nie może lulać do snu, choćby najpiękniej.

Awangarda odniosła zwycięstwo. Zwycięstwo... pyrrusowe. Zwyciężyła tem, co było w niej najmniej wartościowym. Zwyciężyła estetyka awangardy, nie jej idea. Nowa poezja w Polsce nawiązać musi do wielkiego nurtu awangardy Zachodu, stać się groźną i niebezpieczną przygodą duchową.

JAN ŚPIEWAK

## FRAGMENT POEMATU „JESIEŃ“

...Wieczorem, jeśli spojrzeć zgóry  
białodrzew jarym ogniem płonął  
Naprzelaj brnąc z gałęzi jantar  
czeryp zwolna dłońmi zmęczonemi,  
Mój dom białymi świecił mury,  
zacisznie było mierzyć czas  
idących dni. Budziłem siebie.  
Z uporem lata mijać trzeba  
Teraz  
miliardy chwil splątane zrywać  
— do nóg spadały — zgasłe żyjąc.  
Nanowo mów.

Pryskaly malwy.

Badyle suche pną się sennie  
zanim na słupach kwitnąć będą  
obrzękle trupy powieszonych  
poruszał fale Dniepr. Fiolet portu  
płoszyła wznieśli twierdza ruda.  
Oczy wchłaniały zapach ziemi.  
Wyspy chłodziły mgłę Limanu.  
Miły, którego łódka zwinna dotrze,  
gdy kępy chlaszczą twarz,  
a złomy wód pieniste brzegi drżą.  
W wąwozach drzew pierzasty popłoch.  
Płynny obłok w nieboskłon wsuwał się bezwładnie.  
Wtedy nie było obcych eskadr.  
Żołnierzy ołowiany rząd  
zdobyty stół zajmował szturmem.  
Nocami, gwiazdy twarz srebrzyły, —  
— wiewiórki nieba gasły w locie,  
na mlecznej drodze znacząc ślad umarłych.  
Krzychałem wtedy we śnie: Matko!  
Zielone oczy ścian bezszkliscie  
kruszyły śnięte platy mroku.  
Grabem byłem, szlamem, nenufary  
dławily gardło ciągnąc nadół.  
Łodygi dnia lekliwie rosty.  
Bredziłem sennie: — ptakiem lecieć precz.  
Szumiały skrzydła drzew nade mną,  
oziębły łopot gaś spóśpiwnie.  
Nie w płochy świergot iść, —  
zabitą pliszka spadać do nóg,  
gdy strach, na białych piórach tuk ognisty,  
na ciepłych ustach krew drgająca  
pochyla głowę wdół. Budziłem się  
dzwoniły dzwony. Wiatr szeleścił.  
Od stepów ciągnął skwar niechybny  
i w okna bił kłębami pyłu.  
Wybuchal płacz i wstydem dławil,  
Łagodna zieleń boli nagle,  
gałęzie lipy człapią obok  
i ścielą czarny cień, jakgdyby ziemia  
miała skwarem zimnym spłonąć.  
Jaśniało zwolna. Łopot chmur przemijał...

Przeciw łupieżowi i wypadaniu włosów

tylko **OLEUM PETRAE „GLIMAR“**

preparat zbadany z wynikiem dodatnim na klinikach dermatologicznych i przez licznych lekarzy-specjalistów, polecany na podstawie doświadczeń naukowych i praktycznych

Łuszczenie się naskórka po użyciu

**OLEUM PETRAE „GLIMAR“**

dowodzi, że nadmiar tłuszczu wymaga wielokrotnego stosowania preparatu aż do zupełnego zaniku łupieżu.

Żądać w aptekach i perfumeriach

**OLEUM PETRAE „GLIMAR“**

wraz z orzeczeniami lekarskimi.

GABRJELA PAUSZER

## PRAWDZIWA ORZESZKOWA

„Stronictwo demokratyczno-narodowe w „Prze-głędzie Wszechpolskim“ nadaje nam (pozytywistom) nazwę pół-Polaków za to, żeśmy namiętności i złych instynktów ogółu nie szczuli przeciw żydom, Rusinom i wszystkim wogóle obcoplemieńcom. Mój „Meir“ był żydem, mój „Cham“ — Białorusinem, więc jestem pół-Polką“ — pisała Orzeszkowa w 1903 roku, boleśnie rozżalona i dotknięta<sup>1)</sup>.

Nie przeczuwała zapewne, że w wiele lat później młodszy brat „Prze-głędu Wszechpolskiego“ — „Warszawski Dziennik Narodowy“ — będzie energicznie zwalczał „mit o rzekomym filosemityzmie Orzeszkowej“, a „Prosto do mostu“ uzna „Meira“ za „jeden z najbardziej antysemitycznych utworów w literaturze polskiej“. Że nie takie były intencje autorki, o tem najlepiej zaświadczy sama powieść — jeśli się ją przeczyta bez zgóry powziętego zamiaru „wybielenia“ Orzeszkowej z zarzutu filosemityzmu.

Orzeszkowa była pozytywistką w ogólnie znanym i utartym znaczeniu tego słowa. Głosiła konieczność pracy dla ludu i nad ludem, wzywała do niesienia oświaty „od piwnic do poddaszy“ (także i tych z żydowskiego ghetta), była rzeczniczką emancypacji kobiet i racjonalnego wychowania młodych pokoleń.

Wstrząsem, który rozbudził i w ten sposób ukształtował myśl młodej Orzeszkowej, dziedziczki Milkowszczyzny i Ludwinowa, było powstanie styczniowe, jego przygotowanie, wybuch i klęska.

Obojętna, a nieraz wroga postawa chłopów wobec akcji 1863 roku, stała się dla późniejszej autorki „Gloria victis“ nauką, z której jej umysł, niezwykle uczciwy i prawy, umiał wyciągnąć odpowiednie wnioski i wskazania na przyszłość.

Trudności finansowe, spowodowane uwłaszczeniem chłopów, konfiskatą majątku i kontrybucjami, oraz związana z tem konieczność przeniesienia się do miasta — to były znów przemiany natury ekonomicznej, które młodej Orzeszkowej otworzyły oczy na wiele spraw niedostępnych beztroskiemu życiu zamożnej szlachty.

Należy tu także wspomnieć o konflikcie ze sferą ziemianką i klerem powodu sprawy rozwodowej; należy uwzględnić wpływ młodzieży demokratycznej, z którą zetknęła się pisarka jeszcze w okresie powstania; wreszcie wpływ lektury, wrażliwość i chłonność myślową młodej kobiety — aby uświadomić sobie etapy, znaczące drogę, jaką przeszła Orzeszkowa — aż ze zwykłej „pani dziedziczki“ została autorką „Nizin“ i „Dziurdziów“.

Od pierwszej swej próby literackiej, od „Obrazka z lat głodowych“, aż do „Gloria victis“ stała śmiało, wbrew swemu środowisku, po stronie postępowych i demokratycznych dążeń społeczeństwa. Głosiła humanitaryzm, współczucie dla wszelkiej niesprawiedliwości i krzywdy, nawet kult pracy fizycznej i wiedzy fachowej. „Szydło i młot, dźwigane umiejętnie, więcej przynoszą rzeczywistego zaszczytu i dobrze zrozumianej korzyści niż toga, okrywająca niegodną jej głowę“ — pisała w 1873 roku, gorsząc tem zapewne opinię całego ówczesnego ziemianstwa.

Ale mimo to hamulce, tkwiące w przyzwyczajeniach, wychowaniu, stosunkach i pokrewieństwach, okazały się silniejsze od wszelkich kataklizmów ekonomicznych i społecznych. Orzeszkowa pochodziła z zamożnej rodziny ziemiankiej, w której żyły tradycje partjotyczne i wolnościowe; nigdy też nie zerwała więzi, jaką wytwarzają wśród ludzi jednej klasy wspólne interesy, upodobania i nawyki. Zastrzegła się zawsze, że nie chce burzyć gmachu, w którym przeżyła dzieciństwo i młodość. Chce go tylko przebudować, przekształcić, poprawić.

Ciekawa jest jej obrona stanu szlacheckiego, zawarta w listach do Jeża z 1876 r.; obrona, w której Orzeszkowa stwierdza, że dawna szlachta polska „była jednym z najczystszych, najpiękniejszych zjawisk społecznych ówczesnego świata“. Winę za jej upadek moralny ponosi, zdaniem Orzeszkowej, duchowieństwo katolickie, dla którego zakłamanie i konwenansów miała pisarka tylko pogardę i niechęć.

Już w jednej z pierwszych swych powieści w „Cnotliwych“, zaatakowała obłudę dewocji i świętoszkostwa, żądając od człowieka, aby gdy modlić się będzie, serce jego było „nietylko dla Boga, ale dla ludzi miłości pełne“. „Ucząc chrześcijanizmu nie należy zapominać o Chrystusie i Jego nauce, co zdarza się bardzo często“ — twierdziła w wiele lat później, kiedy zerwała już z pozytywistyczną obojętnością dla zagadnień religijnych.

Ale i wówczas zastrzegła się przeciw fanatyzmowi, wzgardzie lub nienawiści dla wyznań innych. U schyłku zaś swego życia pisała: „...Można we wszystko kościelne wierzyć i być zupełnie niereligijnym... Można o wielu rzeczach kościelnych wątpić i posiadać w sobie ducha religijnego...“<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> List do Aur. Drogoszewskiego z dn. 22. III. 1903 (Zbiory Tow. im. Orzeszk.).

<sup>2)</sup> List do Poniatowskiego 12/IX 1894 r. (Zbiory Towarzystwa im. E. Orzeszkowej).

<sup>3)</sup> List do Bochwica. 7. kwietnia 1909 r. „Listy“, t. I.

Na księży patrzyła Orzeszkowa jak na ludzi, „którzy niezawsze sprostać mogą swemu wielkiemu i trudnemu zadaniu, którzy nawet niezawsze w pełni zrozumieć je są zdolni“<sup>3)</sup>.

Niechęć pisarki do kleru miała swe głębokie podłoże w obserwacji i znajomości życia, w bolesnej kampanji rozwodowej, wreszcie w obelgach, jakie spadały na nią ze strony „Prze-głędu Katolickiego“ i całej pokrewnej mu prasy. „Pomocnica Murawje-wa“ i „pomywaczka żydowska“<sup>4)</sup> — oto epitety, które darzono Orzeszkową. Kamieniem obrazy był tu przedewszystkiem wspomniany już wyżej filosemityzm autorki „Meira“.

Tymczasem — egzotyczny świat żydowskiego ghetta pociągał ją jako pisarkę; jako obywatelkę obchodziła ją dola i niedola Meirów, Samsonów i Gedalich; jako człowieka — oburzały wszelkie akcje pogromowe i bojkotowe.

„Wszystkie prace dla *wszystkich*, *wszystkie* społeczne godności dla *wszystkich*, *wszystkie* — nade-wszystko, a nade-wszystko — źródło oświaty dla *wszystkich*“<sup>5)</sup> — oto jej dewiza. Gotowa była „bądź-cobądź i kosztem wszelkim poprzeć czynem „Meira Ezołowicza“ i bronić napastowanych ziomków“<sup>6)</sup>, a antysemityzm i związane z nim ekscesy przedewszystkiem przerażały ją jako objaw zdziczenia i kulturalnego upadku. Rozumiała doskonale ich ekonomiczne podłoże i pięknie pisała o tem w artykule, który ukazał się już po jej śmierci („Kurjer Warszawski“, 1911): „Może to jest prawda dla natury ludzkiej zawstydzająca, może przyjdzie era złota, w której dwa bliźnie łokcie nie będą przy każdym zbliżeniu aż do krwi potraćcać się nawzajem o każdy okrucich chleba lub ochłap mięsa; ale dziś jeszcze tak jest, dziś jeszcze każdy młynarz do swego młyna wodę ciągnie, choćby mu ona przyplynać miała razem z krwią albo z trupem młynarza sąsiedniego“.

Jako rzeczniczka asymilacji, Orzeszkowa wywo-dziła nacjonalizm żydowski od wielce złego przy-jęcia, którem państwo rosyjskie odpowiedziało żydom na ich asymilacyjne dążności. Twierdziła, że „od-miennosc wyznania religijnego, jak o tem wie każdy, może nie stać na przeszkodzie wspólności i zgodzie dążeń i prac obywatelskich“.

W zasymilowanych żydach widziała pożądanego współtowarzyszy w walce z caratem. Dlatego zapewne niechętnie patrzyła na „organizowanie się na ziemi polskiej żydów w narodowość odrębną, dla walk, dążeń i pragnień, dla idei i kultury polskiej obojętnej“ („Kurjer Warszawski“, 1911). Przeci-wstawiała się więc nacjonalizmowi żydowskiemu w imię nacjonalizmu polskiego.

Ten właśnie nacjonalizm kazał Orzeszkowej surowo sądzić wszelki ruch socjalistyczny w Polsce. Identyfikowała go całkowicie z wynarodowieniem i zruszczeniem, tak groźnym zwłaszcza na kresach kraju. „Robespierre i Maraci nasi ojczyznę mają za stary przesąd, o którym przez dyplomację tylko mówią z uszanowaniem, a w gruncie rzeczy zrzucają ją z tronu myśli ludzkich razem z Bogiem i rodziną“ — pisała do Konopnickiej. W socjalizmie nie widziała więc idei siły, sprzyjającej sprawie polskiej, a przyzwyczajona od dzieciństwa do dobrobytu i związanej z nim kultury towarzyskiej, brzydziła się również brudną odzieżą, brakiem ogłady i zaniedbaniem, tak częstym u ubogiej młodzieży socjalistycznej. Niemałą więc rolę odegrała tu znowu sfera, w której wychowała się i żyła autorka „Widm“, sfera, w której forma była świętością i dogmatem, a dobrze skrojony frak najlepszym świadectwem wartości człowieka.

Orzeszkowa nie wierzyła, że przemiany społeczne kształtują psychikę ludzką, i dlatego pisała: „Nie bronię dzisiejszego systemu kapitalistycznego, z biegiem czasu musi on upaść i pożądaną jest rzeczą, aby upadł, gdyż urósł w potworność i stał się klęską świata. Tylko mniemam, że jeżeli system obecny zmieni się na inny, choćby teoretycz-nie najlepszy, przy obecnej wartości człowieka ten

<sup>4)</sup> „Myśl katolicka“, nr. 30, 1910 r.

<sup>5)</sup> „Noworocznik Warszawski“ na rok 1885.

<sup>6)</sup> Orzeszkowa do Jeża 17. IV. 1881 r. „Listy“, t. I.

<sup>7)</sup> List do A. Drogoszewskiego 30. III. 1904 r. (Zbiory Tow. im. Orzeszkowej).

JAN BRZĘKOWSKI

## PIĘKNE PRZEJAŚNIENIA

*piękne przejaśnienia w niedzielnym krajobrazie  
spojrzeniami przyczepione do dachów miasta*

*strzeżcie się szlachetnej archeologii dni*

*strzeżcie się chmielu kruszącego się w dłońiach*

*nie wierzcie białym oczom mleczarek czyniących nie-*

*[przystojne gesty*

*przed stertami z masła zdrętwiałymi jak serca*

*nie zatrzymujcie się przed rzeźnią nabrzmiałą czer-*

*[wienią kwiatów:*

*wstuchujcie się w waszą krew co burczy*

*ociężała*

*jak pies otoczony wałem z marzeń.*

(„Spectacle metallique“)

przełożył Zbigniew Bienkowski

człowiek szybko potrafi z niego zrobić nową potworność i klęskę“).

Zastygłszy więc w demokratyzmie, który przyswoiła sobie w 1863 roku, a w którym najgłośnie-j brzmiała nuta: „Z szlachtą polską polski lud“ — Orzeszkowa nie poszła dalej i nie potrafiła ocenić należycie przemian, których rezultatem był rok 1905.

Przerażały ją także napady i rabunki, które zdarzały się po wsiach w te rewolucyjne dni. Za-przeżały one pozytywistycznej idei solidaryzmu wszystkich warstw, rozwiewały złudzenia, że chłop i pan mają jednak jakieś wspólne interesy, groziły zagładą szlacheckim gniazdom. Właśnie w imię do-bra tych „gniazd“ przeciwstawiała się socjalizmowi i temu wszystkiemu, co z nim wiązała, niezawsze-zresztą sprawiedliwie i słusznie. Była bowiem przedewszystkiem wyrazieliwą potrzeb i dążeń zuboża-łego obywatelstwa, zwłaszcza tej jego części, która w imię narodowego interesu pragnęła podnieść po-ziom materjalny i kulturalny szerokich mas chłop-skich.

Mimo jednak swej szlacheckości Orzeszkowa nigdy nie należała do obozu reakcji i zacofania. Nie była socjalistką, ale też nigdy nie zacieśniała swego patriotyzmu do ram szowinizmu i międzynarodowych nienawiści.

Stawiała swemu pokoleniu surowe żądania i od-ważnie demaskowała zastój szlacheckiego istnienia. Jej stosunek do kleru był śmiały i rozumny, jej stosunek do żydów — uczciwy i mądry. Domagała się prawa głosu i prawa do pracy dla rzesz kobie-cych, walczyła z caratem słowem i czynem. To wszy-stko nadaje patriotyzmowi tej pisarki wybitne zna-mię szlachetności i postępu.

I to wystarczy. Nie trzeba wcale kształtować dziś poglądów Orzeszkowej „na wzór i podobień-stwo“ swoich własnych potrzeb i wymagań, jak to często robią rozmaici wielbiciele jej twórczości.

Mądre oblicze autorki „Meira“ zawsze wyjrzy spoza tych przekształceń i przemówi do nas tem wszystkiem, co w jej twórczości jest wciąż jeszcze żywe i aktualne.

DEZYDERY SZYMKIEWICZ

## WSPOMNIENIA

Kiedy to było? Za moich lat studenckich, „górn-nych i chmurnych“ — rok 1907 czy 1908. W mgli-sty, jak zwykle w zimie, posępny dzień błąkałem się po bulwarze Montparnasse. Wśród szarego, jednosta-jnego szeregu kamienic paryskich, z nieskończonymi rzędami balkonów na wszystkich piętrach zwróciła moją uwagę odmienna budowla, niższa, widocznie o wiele starsza. Powiewała na niej flaga trójkoloro-wa, jak to jest na gmachach publicznych francuskich: *Ecole municipale* opiewał szyld blaszany. Rzecz ba-nalna — chciałem iść dalej. Ale przyjrzałem się uważniej sklepieniu bramy — widniał na niej Orzeł i Pogoń, a pod niemi napis: *Boże, zbaw Polskę*. Czy to był gmach dawnej ambasady? Co to mogło być — nie wiem i teraz. Ale mniejsza o to. Został mi w pamięci ten szok, którego doznałem. Niedługo przedtem zapisano mnie w prefekturze w rubryce: Russe.

\*

Na cmentarzu Montmartre szukałem grobu Słowackiego. Wartownik cmentarny nic dobrze nie wie-dział i nazwiska poety wymówić nie umiał. Szukając, natrafiłem na grób innego poety. Na bryle kamienia nad pięknym, po niemiecku wyrzonym wierszem wid-niał napis: *Henri Heine* — wyraźnie „Henri“, nie „Heinrich“. Przypomniał mi się Stendhal, który na swoim grobie kazał wyryć napis „*Arigo Beyle*“ — „Arigo“ nie „Henri“. Jak dawnymi czasy technie ta zamiana imion!

\*

Cudowny wieczór lipcowy w Banyuls - sur - mer, o kilka kilometrów od Port-Bou, nie bombardowane-go wtedy przez włoskie samoloty, dokąd jeździło się a nawet chodziło pieszo po wspaniałe hiszpańskie papierosy. W dali Pireneje ze starodawną wieżą Madelocq, zaginioną w mroku. Nie widać w mroku także afiszów, wzywających po francusku: *Katalońcy, głosujcie tylko na Katalończyków*. Widnie-je natomiast na środku placu w świetle lampjonów spizowy pomnik, wystawiony na cześć mieszkańców tej wsi, poległych w czasie rewolucji francuskiej na przełęczu Banyulskiej, tych Termopilach pirenej-skich w walce z inwazją wojsk hiszpańskich. Roz-bawiony tłum — mowa katalońska, głośna i ostra, głuszy bardziej melodyjne tony francuszczyzny. Tań-cze katalońskie pod gwiazdystem niebem pod dźwię-ki domorosłej orkiestry. Co to za uroczystość? To święto narodowe francuskie — rocznica zdobycia Bastylji przez wyzwalający się lud paryski.

\*

Odjeżdżałem z Paryża ze smutkiem, z jakim każdy żegna to miasto o tysiącu powabach. Gare de l'Est. Wśród zamętu zajeżdża pociąg. Wypada z niego hałaśliwa hurma jakichś uradowanych ludzi. Wi-docznie cudzoziemcy, bo nie mówią po francusku. Przysłuchuję się — coś jakby gwara niemiecka.

Pytam kogoś: — Kto to jest? — To wycieczka ze Strasburga.

W parę godzin później byłem w Deutsch-Avri-court, ujrzałem ponure pruskie twarze, żandarma w pikielhaubie.

STEFAN NAPIERSKI

## O STANISŁAWIE WASYLEWSKIM

Nowa książka Wasylewskiego,<sup>\*)</sup> wybornego causer'a, jest, podobnie jak wszystkie poprzednie, uczta, zastawiona z samych przekąsek, biesiadą z frykasów, które nietyle nasyceniu apetytu służą, ile go zastrzają. Literackie te specjalności składają się na t. zw. lekką lekturę, ale lekką w najwybredniejszym znaczeniu tego słowa, czyli nieznacznie liczne otwierającą perspektywę. Kpiarski i w miarę sentymentalny *mistrz sztafetu*, jakim jest tegoroczny laureat m. Poznania, będzie zachwycać i trochę gorszyć tych wszystkich, których nie stać na oderwanie się od wczorajszego życia, od marginesów kultury: anachronicznie zatem rozmiłowanych w niedalekiej przeszłości szperaczy, wścibskich kolekcjonerów, natrętnych, niemal lubieżnych, podpatrywaczy cudzych egzystencji; wszystkich, którzy kochają się w stylu — nietylko, jako w słownej wypowiedzi, lecz zarówno w geście, w mimice, intonacji głosu, w doborze i kolorycie wyrażen — w stylu, pojętym jako tęcząca otoczka wokół minionych osobowości, jako aura i niewietrzejąca sugestia, jako to, co zwie się psychicznym klimatem; tych wreszcie, którzy lubią chłonać anegdoty, odgrzebując je tak, jak się rodzinę wyskubuje z ciasta, ze względu na *smaak* ich, nie pożywną konsystencję.

Przypuszczać można, że ci wszyscy, uwiedzeni silnym urokiem autora, umiejętnym dawkowaniem, trafną inteligencją *métier* pisarskiego pod temi wetami misternej i „foremnej roboty“ nie dostrzegą utajonej gorczy. Jak wiadomo, ci, którzy najprzejmiej zabawią, sami niezawsze bywają weseli. Wspominkowość, którą z takim majsterskim nakładem skrzącego się *esprit* (mimowoli pod pióro francuskie cisną się słowa) uprawia Wasylewski, aby nie popaść w trywjalną rzewność, często, chociaż skrycie, sycona bywa uśmiechem sardonicznym, autoironją, tonowaną zgryźliwością, niepozabawioną szczyptą melancholijności. Taki pamiętnikarski dystans, taka kulturalna oschłość służą powabnemu zamaskowaniu pewnego imoralizmu, jaki zawsze kryje się w odpominaniu spraw, bliskich sercu, rodzajowych, znamienych i charakterystycznych, a przeciw obiektywnie blahych, które się legitymują przez to tylko, że delikatniej od innych przeżył je sam autor, że, zniewolony fatalizmem uczuć, zmuszony był je „uwiecznić“. Niewielu tedy dopatrzy się w takiej organicznej postawie bezradności oglądacza, który posiada bystrzejszą od innych, a zwłaszcza *drażliwszą*, kliszę pamięci: chwyciła ona i utrwała jakby mimowiednie i nie przestaje jątrzyć tak długo, póki się jej z ciemności nie wywoła i raz jeszcze nie naświetli, póki się autor nie wypisze.

Prawem dziedzictwa krwi, środowiska o tradycjach ziemiańskich i cygańskich razem, swej kresowej polskości wreszcie, ten zapóźniony w swej epoce wnuk powstańców jest kolekcjonerem od maleńkości, z urodzenia i z powołania. Ze skrytki biurka, z sekretery jesionowej, z sepecików i z „czeczotowych“ (jak niegdyś Czesław Jankowski na przeciwnym krańcu od morza do morza rozsiadłej ojczyzny), szkatulek, z lamusa pamięci dobywa sztychowane sylwety, oprząta z pajęczyn, nieznacznie otrzępnięte z naftaliny i — poprzez umiejętny dar słowa, sugestię i swadę urodzonego gawędziarza — każe nam wierzyć przez chwilę, że dyszą jeszcze te znumifikowane postaci. Ma dykcję nienaganną, którą zwoździ, a przeciw nakazuje nam obcować z widmami. I oto bywa tak, że te pysznie skomponowane, biegłe i stonowane nieomylnie minjatury, lśniąco odbłaskowym polem obrobionych do czysta bibelotów, porczynają nas niemal zawstydzają; że, nie wiedząc kiedy, przejmują nas lubym dreszczykiem stracnu, jak *panopticum* — zestawione dłonią artystowskiego reżysera. Poczynamy nie bez racji podejrzywać, że ten miłośnik cudzych spargalów, konfesji, memuarów, pisze „sympatycznym inkaustem“ (jak się niegdyś mawiało) zatajone pamiętniki i bardziej jeszcze zakonspirowane wyznania.

Jeśli ktoś, to Wasylewski, rzecz u nas rzadka, jest wybornym *literatem*, literatem z profesji, z rodziny tych, jakimi w tak znacznej ilości i w tak różnej skali zawsze poszczycić się mogła Francja. Nigdy nie pośliznie mu się, nie skrzyźnie pióro; ten nietylko modny, lecz i mądry autor kilka strun swego kunsztu różniczkował z niezawodnym instynktem, świadom, że i na cytrze wygrać można melodie nietylko wątle, lecz i przejmujące. Wasylewski to — podobnie, jak w jednej z dziedzin swej obfitej, wielopłaszczyznowej, lecz zawsze wypielegnowanej i z gruntu jednorodnej twórczości niedość obecnemu pokoleniu znany Wiktor Gomulicki — oryginalny *temperament* literacki; a oto widzimy, bynajmniej niezaskoczeni, że określenie to pasowałoby także do Goncourt'ów, co więcej, byłoby w ich duchu.

Jest to, by odpowiedzieć, ten wyrafinowany i płochy nieco gatunek kształtowania, który, pomimo efektowności, skazany jest na pozorną bezowocność. Nie wpływa doraźnie na realność, chociaż nie przestaje z nią oczkować, nie wpływa, lecz infiltruje się w nią poprzez zawiąsanie włoskowatych naczy-

niek; rzeczywistość kultury percypuje bowiem nie bezpośrednio, nie tam, gdzie fermentuje *in statu nascendi*, gdzie trwa w ciągłym stawaniu się, lecz tam już, gdzie osiada w mineralne jakby zawiesziny, gdzie się *krystalizuje w produkty uboczne*. Gatunek taki z natury jest zastępczy; toteż bez zdziwienia w książce tej spotykamy nietylko galicyjskie osobliwostki lwowianina, nietylko galerję typów i polonusów takich, jak Ujejski, Władysław Łoziński, Tadeusz Pawlikowski, Kasprowicz, Askenazy wreszcie (i mnóstwo pomniejszych, bardziej jeszcze „regjonalnych“); nietylko raz po raz migają nam przed oczami zbyt szybko przesuwane płyty „latarni magicznej“ (tego rekwizytu naszego dzieciństwa); nietylko w powonienie nasze uderzy zapach grzybni, woń loszku i zmurszałej biblioteki, aromat dwuznaczny epoki, to wszystko, co jest w niej „*vermoulu*“, czyli po niewielu latach dostępne jeno koneserom; lecz, co więcej, natrafiamy często na zarysowaną scenę kapitalnej komedji prowincjonalnej, na feljton, tak skomplikowanie zestawiony i tak biegle rozwiązany, jak wzorowa nowela.

Wasylewski bowiem, ostatni ze wspominkarzy, modłą staropolską czerpiący pełną garścią z „*silva rerum*“, na pamięć znający kabotynerję malowniczego kostjumu, tropi, gdzie się da, wszelką „*egzotykę*“, choćby tę najbardziej parafjańskiego pokroju. Toteż ten niewypisany w pełni romansopisarz II cesarstwa, w którym, jak głósza biografowie, rozlubowany był do niepamięci Konrad Korzeniowski, wyrodny polski szlagon, obdarzony mściwym *geniuszem*, oraz niesławny okres secesji traktuje nie inaczej, niż wskrzeszaną dawniej epokę „*króla Stasia*“. Uprawia muzealnictwo, jak jaki kustosz z *France'a*, niewolny od przewrotności, otrzępuje pył, i pył ten zabarwia. W tem także (choćby jakby przez dziurkę od klucza) jest daremne i wzniósłe poszukiwanie „*straconego czasu*“, przyczem poszukiwacza znamionuje trafność lapidarnej charakterystyki i tak pyszne obrysowanie sylwet, że to szkice, zebrane w tomie, wynosi często ponad feljtony, przywraca autorowi jakdyby solenną nieco godność, wdzięk i maestriję „*kronikarza*“. A nie zapominajmy, że takimi kronikami parali się najwięksi.

Rzecz można tylko, że przez brak hierarchji taki monografizm marginalij, płynący zarówno z bieżących potrzeb czasopiśmienniczych, jak z dyspozycji psychicznych autora, bywa niewesoły; że autor musi tu nadrabiać minę, pokrywać niejedno swoistym humorem. Ostrem piórkiem malując na nierównej wartości materjale minjatury, kreskując i cieniując tą zawiłą techniką, która w rezultacie wydaje się ujmująco prosta, daje nietylko przyczynki do charakterologii swej generacji, bezpośrednio przedwo-

## PRZYPOMNIENIA

## METODY „POLSKICH HAKATYSTÓW“

Ćwierćwiecze śmierci Bolesława Prusa nie przyniosło zbyt obfitego plonu publicystycznego. Doskonały, jak zwykle, szkic *Boy'a* i ogłoszone przez Szweykowskiego notatki wielkiego pisarza z okresu, gdy uczył się on pisać na maszynie — to były chyba najciekawsze momenty jubileuszowe.

Artykułkininiejszy ma tylko jeden cel: przypomnieć opinię twórcy „*Faraona*“ o powstającej i rozwijającej się na jego oczach partji, którą dziś przywykliśmy określać mianem „*endecji*“.

Narodowa Demokracja sięga, jak wiadomo, swemi fundamentami organizacyjnymi do roku 1897. Całkowity jednak program tego stronnictwa ogłoszony został dopiero w roku 1903 i odtąd też właściwie zaczął się wpływ endecji w społeczeństwie. Jakimi sposobami starała się go ona pozyskać już u kolebki swego rozwoju? Posłuchajmy głośniejszych w owym czasie „*Kronik tygodniowych*“, umieszczanych przez Prusa w „*Tygodniku Ilustrowanym*“.

Urywek „*Kroniki*“ z dnia 28. IV. 1906 r. (okres wyborów do I Dumy):

„...przypatrzmy się „*narodowej demokracji*“ dzielnemu Krakowi, który miał nas uwolnić od smoka anarchy, sprzymierzonej z semityzmem...“

Przedewszystkiem czy ci panowie rozumieli potrzebę solidarności wszystkich żywiołów polskich, nie w tym celu bynajmniej, ażeby np. grozić Żydom, ale — żeby ukorzyć siłę narodową, która bez względu na drugorzędne różnice poglądów, przynajmniej w pewnych, nadzwyczajnych wypadkach, umiałaby występować jako jedna całość, jeden narodowy organizm?...“

Niestety! nie... Panowie z narodowej demokracji przedewszystkiem byli zajęci już nie zwalczaniem, ale poniewieraniem swoich przeciwników czy może tylko... poprzedników politycznych...“

Tu Prus omawia szeroko metody politycznej walki endecji z przeciwnikami, a w następnej „*Kronice*“ z dn. 5. V. 1906 r. wyjaśnia, dlaczego to stronnictwo nie czuło „*potrzeby solidarności wszystkich polskich żywiołów*“ nawet w takim „*nadzwyczajnym wypadku*“, jak wybór do Dumy.

jennej, generacji inteligentów, która wzrastała po kawiarniach, seminarjach, bibliotekach, na konspiracyjnych zebraniach wreszcie, i po dziś dzień owocne zachowała nałogi; co więcej, bardzo pobłażliwie, by nie rzec z admiracją, traktuje jej „*bujność*“, jej „*fason*“, wznawia modę, tak bliską rzewnej groteski, jak czarne kapelusze z rondem lub damskie, uginające się od szklanych owoców. Może, nie wiedząc o tem, idealizuje potrosze, zgłasza solidarność z psychologicznym typem owego inteligenta, z jego zwawą buńczucznością, która zbyt często pokrywała kwaskowaty katzenjammer.

Stąd rodzi się szczególny humor Wasylewskiego, humor kompensaty; stąd wynika obok spontanicznych, szczerze małopolskich konceptów, pewien nałóg doweipkowania, by nie rzec: wydrzeźniania. Stąd forsowana nieco „*zadzierzystość*“, zacięcie, wyrażające się w manjerę. Liryzm używa Wasylewski, zawsze jakby w cudzysłowie, stowarzysząc go z grymasem niedowierzania, podając w wątpliwość własną cierpką elegijność, używając go, jak jeszcze jednej, tym razem zlekka melancholijnej przyprawy, by zmóc drażniącą korzenność likworu. Powłoka pozornie optymistycznego humoru, wybuchającego przy bylejakiej okazji — ów sztuczny, „*cygański*“ humor kamraderji — spowinowaca go z krajanem Makuszyńskim; lecz sięga dalej i głębiej. Takie upodobanie do przerysowanej charakterystyczności, dziarskość zwrotów i zawadjackość słownictwa, naturalna u J. Chr. Paska, długi przeciw posiada rodowod, podobnie jak ów gatunek jędrnej, osobliwej, niepozabawionej junakierji „*plastyki*“ — *plastyki* facecjonisty i dykteryjkarza — poprzez najrozmaitsze „*kontuszowe pogadanki*“ — w odległej paranteli dociera wreszcie do wspaniałego daru narracyjnego Sienkiewicza. Toteż nie brak u Wasylewskiego, i pod tym względem nieodrodnego syna swych ojców, śladów wyśrubowanego nieco sarmatyzmu.

Z różnych wątków tematycznych i z wielu in-gredjencyj artystycznych, nie wiedząc kiedy, własną modłą, o tysiączne znane zatracającą sposoby, naj-przebiegłej, najbiegłej, z świetną nonszalancją, a przeciw z wyrachowaniem, składa Wasylewski tomy — jakby z niczego. Filtruje w sobie tylko znanych retortach, kruchych i ogniotrwałych, styl jednorazowy i nie do podrobienia, rzutki i insynuacyjny styl stylizacji, zyskujący tym, którzy nim władają, zasłużony rozgłos i godziwą poczytność; styl, który całkowicie, zdawałoby się, wyraża i określa pisarską osobowość, i w ten skryty sposób zamyka ją w nie-przekraczalne granice. Gdyby móc je przełamać, autor znalazłby się na drogach, nieprzewidzianych dla siebie i dla nas, kto wie, czy nie na odkrywczych. Narazie — dowierzamy czarownikom.

czajnym wypadku“, jak wybór do Dumy.

„Dlaczego to Endekowie — pyta — nie zgodzili się na utworzenie „*Kola wyborców*“, na porozumienie się z innymi partjami, skoro obyczaj takli praktykuje się zarówno w Galicji, jak i w Pozańskim i zapobiega rozstrzeleniu się głosów?“

I odpowiada:

„Nie zgodzili się dlatego, ażeby mieć w rękach wszelką władzę, mieć wszędzie „*swoich ludzi*“, ażeby wszystkich współzawodników odsunąć od politycznego stołu czy żłobu, nie lękając się przytem narazić społeczeństwa na kompromitację.“

Tak demaskował Bolesław Prus partję, która zawsze pragnęła „*jednoczyć*“ naród, byle pod swoimi wyłącznymi skrzydłami... W tej samej „*Kronice*“, nawiązując do ówczesnego sukcesu wyborczego endecji, pisał:

„...winszuję Narodowej Demokracji zwycięstwa, podziwiam jej energję, konsekwencję, karność, umiejętność obmyślenia i wykonywania planów, umiejętność korzystania z każdej chwili i okoliczności, mogącej doprowadzić do celu. Winszuję, a teraz powiem, dlaczego — podejrzewam w tem stronnictwie pewien gatunek... polskich hakatystów...“

Dosłownie: *hakatystów*. Dziś użyłby Prus może innego, bardziej aktualnego słowa... zaczynającego się na tę samą literę alfabetu. W owej „*Kronice*“ zaś, udowodniwszy przykładami (dla nas już przebrzmiałymi), słuszność swego stanowiska, kończył tak:

„Wszystkim wiadomo o krwawych wydarzeniach w Lesznie (bójka między zwolennikami i przeciwnikami endecji — przyp. aut.). Otóż na tle tej krwi, którą przelano, i tych łez, które dopiero zaczniemy wylewać, jak wygląda artykuł jednego z narodowo - demokratycznych organów, *Słowa Polskie* go:

„Niepotrzebnie lękamy się walki bratobójczej... Ostatnia to już chwila do podjęcia energicznej walki na życie i śmierć, bo idzie o przyszłość narodu.“

\*) „Niezapisany stan służby“, Warszawa, J. Przeworski, 1937.

Musi być ta walka bezwzględna, a nie trwóźmy się obawą, że to będzie wojna domowa. Historia uczy, choćby na przykładzie Anglii i Japonii, że właśnie z walk wewnętrznych wychodziły narody silnymi...

Oto słowa mistrza! Już to nigdy obóz reakcji polskiej nie wahał się gloryfikować „idei” wojny domowej! I targowiczanin Borzęcki w r. 1790 i „Słowo Polskie” w r. 1906 i „Warszawski Dziennik Narodowy” w r. 1937 starały się udowodnić, że „wojna domowa nie nieszczęściem, ale dobrem jest dla ojczyzny“!\*

Prus jednak osądził, że zacytowane przezeń wynurzenia „Słowa Polskiego” „przypominają rozporządzenia Murawjewa wileńskiego”, a wogóle „hasła Nar. Demokratów... nie należą do bezpiecznych”. Jak na te jego uwagi odpowiedziała Narodowa Demokracja i jak perfidnie potrafiła zwrócić przeciw wielkiemu, a niezmiernie popularnemu pisarzowi część opinii publicznej, świadczą poniższe słowa Prusa:

„Od kilku dni spełniają się dokoła mojej osoby jakieś tajemnicze zjawiska. Poczuwa gospodyni, pani Karczesa, patrzy na mnie zaszawionymi oczyma; stróż nie kłania mi się przy ludziach, a bez ludzi kłania się bardzo ostrożnie, znajomi nie poznają mnie, a nieznamomi przypatrują mi się ze współczuciem. Nareszcie od czasu do czasu zastępują mi drogę jacyś młodzieńcy i, obrzuciwszy mnie pogardliwym spojrzeniem, mruczą:

— Wróg narodu!..

Jeżeli zaś tego rodzaju owację wyprawiają mi panienki, wówczas słyszę melodyjny szept:

— Wróg ojczyzny!..“ (,Tyg. Ill.“ z dn. 26. V. 1906 r.).

Wystarczy. Bolesław Prus nie otrzymał endecyjskiego patentu na patryjotyzm. Jak zresztą nikt z prawdziwie „wielkich w narodzie”. Bolesław Prus nie był bowiem nacjonalistą. Pisał:

„...współobywatele nasi, Żydzi, niech nie wątpią, że posłowie polscy w Dumie, ile razy zdarzy się okazja przemówić w ich imieniu i zaprotestować przeciw uciskowi, zrobią to z taką dobrą wolą, jak gdyby chodziło o najrodzeńszych braci“...

...Bolesław Prus nie dożył czasów, w których antysemityzm stać się miał w Polsce doktryną nieomal... oficjalną, a hasło „przełomu narodowego“ (czytaj: wojny domowej) zdołało uzyskać... bardzo wysokie poparcie.

Zygmunt Jarosz

\*) Por. świetny artykuł Mieczysława Bibrowskiego w 35 (listopad 1937) numerze „Sygnałów“.

HALINA KRAHELSKA

K W I T N Ą C E Ż Y T O

Czesława Sobiesiak-Kamińska. Kwitnące żyto. Warszawa, 1937, J. Przeworski; str. 351.

Powieść Czesławy Kamińskiej jest jedną z najbardziej interesujących książek ostatniej doby. Jej prawdziwość i autentyczność społeczna sprawia, że czyta się ją jak pamiętnik. Mogą powstawać wątpliwości, czy młoda autorka potrafi napisać, w dalszym ciągu swej twórczości, właściwą powieść? To jest bowiem niewątpliwie tylko historia własnego dzieciństwa, spowiedź odważna i szczerą. Trzeba podkreślić, że rzadko można spotkać autobiografię w postaci literackiej, napisaną z takim poczuciem odpowiedzialności, z taką sumiennością, z tak bezkompromisową szczerością.

W zainteresowaniu, jakie ta książka wzbudziła w prasie, nie brak zgrzytów: dziś posadza się każdego o plagiat. Jeden z recenzentów w prasie warszawskiej „załatwił się” z książką debiutującej autorki tym najmłodniejszym sposobem: pomawia ją nie tylko o wzorowanie się na powieści Uniłowskiego „20 lat życia”, ale upatruje naśladownictwo nawet w szczegółach (przytacza incydent z ukradzionym czerwonym beretem). Cóż za kompromitacja oskarżyciela, gdy się dowie, że fragmenty powieści Kamińskiej drukowano w „Epoce” w czerwcu r. 1936 (i to właśnie fragment o kradzieży beretu, „Epoka”, nr. 1/66, dn. 7. VI. 1936 roku), zatem na wiele miesięcy przed ukazaniem się powieści Uniłowskiego! Poza tym jednym zgrzytem, głosy prasy doceniają wagę tego nowego wkładu do literatury: tej opowieści dziecka robotniczego o twardej, gorzkiej drodze do oświaty.

Dziecko bardzo licznej rodziny, ojca robotnika i matki praczki, od małenstwa garnie się do nauki, stroni od zabaw rówieśników z podwórza na Powiślu, walczy niezmordowanie ze wszystkimi przeszkodami i osiąga wymarzoną maturę. Niedawno czytaliśmy „Spowiedź” Mortona. To są książki podobne: przez wielką wspólność tej udręki dziecka ludu w pogoni za wiedzą, w walce o równe prawo startu. Historia dążenia chłopskiego syna do oświaty, zakończonego tragiczną śmiercią urwanego wpół drogi, jest całkiem beznadziejna: zagęszcza nad czytelnikiem takie chmury rozpacz, krzywdy, bólesci, że nawet przesłania perspektywę społeczną: pod gniojącym ciężarem tej tragedii połamanych nadziei można naprawdę się zmylić i wraz ze zrozpaczoną, dobrą, starą ojcem uwierzyć na chwilę, że istotnie tak może być jeszcze długo, że oświata pozostanie przywilejem niedostępnym dla chłopskich synów. Tu, dziecko robotnicze, Sobiesiakówna, osiąga swój cel. Wprawdzie ma się wrażenie, że już nie dobiegnie do mety. Umarł dobry — choć ciemny — ojciec, który chciał ją uczyć, gdy była mała; załamują się siły matki-wdowy i chęć dopomożenia dziecku walczy w niej — przegrzanej goryczą życia — z oporem i buntem przeciw dążeniu córki do matury; wkońcu, już w ósmej klasie, dziewczynka upada pod ciężarem choroby, rozwijającej się na tle głodu, przemęczenia i nadmiernego wysiłku: stoi po nocach nad balją wraz z matką, w dzień musi być w szkole, umieć, uważać, uczyć się, dorównać tym wyspanym, dobrze odżywionym. Gdyby nie przyjaciółka, napotkana przy końcu nauki gimnazjalnej, nie dobroć ludzka matki koleżanki, dziewczynka załamałaby się przed samą metą. Zdobywa maturę: kres dziecińczych marzeń. Nie były to marzenia. Życie takie, jak Sobiesiakówny-

Fabińskiej uczy trzeźwości: dążyła do matury jako do mety, umożliwiającej zarobkowanie na życie, na wyżywienie i wykształcenie młodszego rodzeństwa. I tu akcent tej samej beznadziejności, co u Mortona. Wkracza beznadziejność kryzysu, bezrobocia, niedostatku pracy, przymusowe bezrobocie absolwentów szkół. Na tym progu beznadziejności rozstajemy się z autorką. „Przez te otwarte drogi, wypełnione milionowym tłumem bezrobotnych i głodnych, nie wiem, czy starczy mi sił przecisnąć się z matką i dziećmi na ten drugi brzeg, gdzie wybrańcom dają chleb i pracę...”. Tak mówi Sabka Fabińska do przyjaciółki po maturze. I potem jeszcze kilkanaście wierszy: o składaniu podań, skazanych na nieczytanie. I jednak otucha: prostuje się ta twarda dziewczyna pod ciosami niepowodzeń i choć gorzki jest jej uśmiech na ostatniej karcie książki, zaciska chude pięści z mocnym, nieugiętym postanowieniem i ostatnie słowo, jakie słyszemy, jest: „Wytrwam...“.

Tu właśnie budzi się otucha, jaką podświadomie odczuwał czytelnik przez cały ciąg tej bardzo smutnej, bardzo ponurej historii dzieciństwa. Otucha ta wyrasta z przekonania, że twarda i mocna jest wola tego robotniczego dziecka, wola, która musi zdobywać i zwyciężać. Otucha również powstaje z odkrycia, że nie mamy tu do czynienia ze znaną, oklepianym zjawiskiem wydzierania się ze swego środowiska, zdradzania go wraz z wydotaniem się do szkół, na posadę, do biura, do „pańskiego” życia. Scena jaskrawa: Sabka, koleżanka profesorówny, zastaje pewnego dnia w jej domu swoją matkę, piorącą w kuchni bieliznę. Odrzuca obiad przy stole profesorstwa, nie mogąc i nie chcąc sankcjonować przepaści między sobą a matką. „Czy oni naprawdę sądzili, że ja będę mogła to znieść... Moja matka w kuchni, ja w pokoju. Mojej matce, jeżeli w garnku starczy... A dla mnie musi starczyć w wazie... Ta ciężko pracująca na swoje dzieci — to Fabińska, w kuchni — Fabińska, a w pokoju jej córka — panna Fabińska...”. Tak mówi do siebie Sabka, po ucieczce z gościnnego domu.

Z kart tej książki powstaje żywy obraz chudej, zabiedzonej, czarniawej dziewczynki, dostrzegającej wszystkie wady i błędy środowiska (przeważnie bezrobotnych w kamienicy przedmieścia); ale widzącej też ostrym okiem cały blihtr, tandetę, fałsz, komedjanctwo sytego środowiska mieszczańskiego, szlacheckiego i miejskiej inteligencji. Rozmowy w domu profesorstwa, napewno przeciętnych, niezłych ludzi, zainteresowania koleżanek — to wszystko obserwuje Sabka z niezwykłą przenikliwością. Po wysłuchaniu paru rozmówek żony profesora, zresztą do niej nieskierowanych, Sabka bez żalu wyrzeka się odrabiania lekcji z koleżanką w eleganckim domu, wyrokując bezapelacyjnie: „Wolę naszą hołotę, niż ich państwo“...

Jest to świeże i zdrowe, jest to zapowiedź nowej postawy: zdobywać wiedzę, wywalczyć równe prawo startu w życiu, ale nie za cenę zdrady swojej klasy społecznej.

Wśród wielu książek, w których bohaterzy zadzierają głowy, by wypatrzeć „świat panów”, książka, wartościująca tak nieomylnie środowiska, technie zdrowiem i choć poprzez mezeńskie dzieciństwo autorki, zapowiada dobrą przyszłość.

3 NAGRODY LITERACKIE W „ROJU“

NAGRODA GONCOURTÓW R. 1937

CH. PLISNIER

M A Ł Ż E Ń S T W A

cena zł. 12.—

Wielkie studjum rozkładu „gniazda rodzinnego“ burzującej Francji.

NAGRODA NOBLA R. 1937

ROGER MARTIN DU GARD

P I Ę K N E C Z A S Y

cena zł. 7.— w opr. 9.—

Cykl „Les Thibault“ R. Martin du Garda, to wielki epos mieszczańskiej Francji przedwojennej, dzieło głębokiej myśli i nieporównanego artystycznego, pomnik kultury duchowej ginącego świata w ostatnich przeblaskach chwały.

NAGRODA LITERACKA M. WARSZAWY

R. 1937

MARJA KUNCEWICZOWA

- Dyliżans warszawski (II wyd.) . . . . . zł 5.—
- Dwa księżycy (II wyd.) . . . . . „ 3.—
- Cudzoziemka (III wyd.) . . . . . „ 7.—
- Dni powszednie państwa Kowalskich . . . 7.—

OSTATNIE NOWOŚCI!

PISARZE POLSCY:

W SERJI: WYBITNE DZIEŁA XX WIEKU

- MARCEL PROUST — Strona Guermentes 2 t. zł. 14.— w opr. zł. 18.— 3 część cyklu „W poszukiwaniu straconego czasu“.
- SYGRYDA UNDSET — Olaf syn Auduna i jego dzieci cena zł. 8.—

W SERJI: POWIEŚĆ HISTOR.-BIOGRAFICZNA

- D. LLOYD GEORGE — Wspomnienia wojenne, t. II. cena zł. 12.—, w opr. 15.—
- LYTTON STRACHEY — Ludzie epoki Wiktorji.
- M. G. WELLS — Próba autobiografji.
- I. M. THOMPSON — Przywódca Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

- T. BOY - ŻELEŃSKI — Krótkie spięcia . . . 5.—
- J. BYSTRON — Łańcuch szczęścia . . . . . 6.—
- J. DĄBROWSKI i T. KWIATKOWSKI — Jeden trudny rok.
- A. DEBCZYŃSKI — Haszysz czarnego łądu . . . 7.—
- R. DALBOROWA — Pedicurzystka z zasadami . . 5.—
- P. GOJAWICZYŃSKA — Dwoje ludzi . . . . . 6.—
- W. GOMEROWICZ — Ferdynurke . . . . . 7.—
- St. GRABSKI — Ku lepszemu Polsce . . . . . 6.—
- K. IRZYKOWSKI — Lżejszy kaliber . . . . . 5.—
- T. KATELBACH — Za litewskim murem . . . . . 7.—
- Z. KOSSAK — Wielcy i mali . . . . . 6.—
- Z. KOSSAK — Szaleńcy Boży . . . . . 10.—
- J. MORTON — Spowiedź . . . . . 6.—
- S. PIASECKI — Kochanek Wielkiej Niedźwiedzi . . . . . 10.—
- A. RUDNICKI — Niekochana . . . . . 5.—
- B. SCHULZ — Sanatorium pod klepsydrą.

- M. WAŃKOWICZ — C. O. P. — Ognisko siły. — Centralny Okręg Przemysłowy . . . . . 5.—
- W. WASILEWSKA — Ziemia w jarzmie . . . . . 6.—
- St. WIECH — Ja panu pokażę! . . . . . 6.—

SERIA: PODRÓŻE I WYPRAWY

- Cz. J. CENTKIEWICZ — Biała foka . . . . . 8.—
- A. FIEDLER — Zdobywamy Amazonkę . . . . . 5.— w oprawie . . . . . 7.—
- M. B. LEPECKI — Z Marszałkiem Piłsudskim w Egipcie . . . . . 5.—
- K. PRUSZYŃSKI — W czerwonej Hiszpanji . . . 7.—

LITERATURA ŚWIATOWA

- G. DUHAMEL — Ogród dzikich zwierząt . . . . . 5.—
- A. MAUROIS — Maszyna do czytania myśli . . . 5.—
- H. de MONTHERLANT — Demon dobra . . . . . 6.—
- J. ROTH — Historia 1002 nocy . . . . . 7.—
- M. SELINKO — Byłam brzydką dziewczyną . . . 6.—
- I. SILONE — Chleb i wino . . . . . 6.—

KSIAŻKI DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH. Katalogi i prospekty na żądanie wysyłamy bezpłatnie. TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“, WARSZAWA, KREDYTOWA 1. Konto w P. K. O. 9.880.



MARJA FIDERERÓWNA

# JAK W BAJCE O ŻELAZNYM WILKU

O zachodzie drobne chmury kwitną różanecznikiem na niebie, wieczorem mgły przychodzą cicho, kładą się miękko na grani, jak owce w kolibie, łaszą się białymi smugami i przeciągają. Po kamieniach dzwoni śmiejąca się, jasna woda i liljowe dzwonki kwitną na połoninach.

Nie o kwiatach, o mgłach, o zachodach — trzeba ludziom opowiadać o ludziach, aby nikt nie mógł tłumaczyć się nieświadomością, aby zadziwili się wszyscy wieczną banalnością życiowych kontrastów, do których jakoby przywykli! Spoza wyidealizowanej formy przedziera się twarda i szorstka treść, którą trzeba sobie uświadomić i którą trzeba zapamiętać. Trzeba koniecznie przejść góry i lasy opowiadanych bajek, aby przypadkiem spotkać ludzi, niezaczarowanych pięknem słowem, zdumiewających niekłamną rzeczywistością.

W wilgotnej dolinie potoka — chałupa. Skąpa przestrzeń wszcz, wzdłuż i w górę między butwiejącymi deskami, oblepionymi błotem i nawozem, wypełniona gęsto żrącym dymem. W jamie, między trzema wyżartymi błotem deskami podłogi tli się dniem i nocą wilgotna kłoda, pod siwym popiołem purpurowieje żar — wykwiata nagle błękitnawymi listkami płomieni. Ogień — jedyna, pełnowartościowa, pierwotna własność tutejszych ludzi. Chude cięłe parska, wzdycha, pociera zagnojonym bokiem o belkę. Za mgłą dymu jednostajnie skrzypi kołyska, zawieszona na dwu kijach i monotonicznie brzęczy kołyszący głos dziewczynki. Starczym, świadomym wszystkich spraw życiowych ruchem pociąga za sznurek i obojętnie przygłusza garścią szmat stękanie dziecka. Chude, brudne ręce chwytają cheiwe kostkę cukru i lepią się od oślinionego, głośno i łapczywie wysysanego kawałka. Oczy z niepokojem śledzą siedzących na progu ludzi. Kostka cukru uprawnia do rozmowy. Całe życie mięsi się w tych z trudem i zdziwieniem wymawianych słowach. „Mama?“ — „Pijszły“ — „Tato?“ — „Takoż“ — „Co jedzą?“ — „Kuleszu“ — „A chleb?“ — Milczenie. Proste i obojętne milczenie, wypełnione gęstniejącymi strzępami dymu i chrząkaniem cielaka. Milczenie jest odpowiednią, tak jasną i wyraźną, jak słowa rozlepionej na ulicach odezwy.

Dziecko przestaje się nami interesować. Drobne, sinawe usta poruszają się mechanicznie w bezbarwnej melodii — pół-zawodzenia, pół-kołysanki — poświęconej żółtemu niemowlęciu w niecce.

Mniej wyraźne od cyfr statystycznych są szarzące pod szczeciastą trawą pagórki, krzywo do ziemi pochylone krzyżyki bez dat i nazwisk. Dziecinny cmentarz za wsią Rafajłową. Widoczny na wzgórzu, pod rozpiętymi bezradnie ramionami czarnego krzyża, pod czerwonymi jarzębinami. Bez kwiatów, bez grobów. Kretowiska nędzy, przegrzającej wszystkie korzenie. Chłopski, bezimienny cmentarz.

Drogą pod cmentarzem wracają chłopi. W sobotę wieczór po tartacznej wypłacie wracają pijani środkiem błotnistej koleiny. Mają tępe oczy i bezmyślne, brunatne, nawet po pijanemu smutne twarze. Czy drzemią w nich jakieś siły buntu?

W sobotę wieczór, po wypłacie, na peron wąskotorowej kolejki schodzą leśni ludzie. Drwale i tracze, w koszulach czarnych i tłustych od potu, w strzępach spodni. Siedzą na ziemi przy tobołkach, patrzą przed siebie ponad oświetlone góry, ponad szczyty czarnych świerków. Przeszłość niczem ich nie nęci. Ktoś gra na fujarce melodię, skleconą z kilku dźwięków, jak kumkanie żab po czarnych kałużach, zrezygnowaną i niewrażliwą. Dni i noce tych ludzi są do siebie podobne.

O kilka kilometrów od rezerwatu limbowego i myśliwskiego domku księdza metropolity Andrzeja hr. Szeptyckiego pnie się w błotnistym trudzie rozkisa droga. Sękata od śliskich korzeni, ledwie przetarta między świerkami, potyka się o kamienie. Drogą, od szóstej rano do szóstej wieczorem człapią konie i ludzie, włoką okrągłe pnie, odarte z żywicznej kory. Eksploatacja lasów, surowiec do olbrzymiego tartaku Glesingera w Osmołodzie.

Młody chłop przewlekle nawołuje konie i ciężko wyciąga z błota niekształtą masę chodaków, krok za krokiem chłupocze po rozdeptanym błocie, za porbrękującym łańcuchami orczykiem.

Odslużył wojsko i opowiada z zachwytem o kompanijnych czasach, czasach chleba, mięsa i siennika. To nie praca w tartacznej zwócce. Robotnicy dostają tygodniowo: 10 zł., trochę białej mąki, trochę kukurydzianki, słoniny i tytoniu. Wytrzymałość ludzka nie sięga jednak nigdy dziesięciu tygodni. Puchną nogi, zrywają się płuca, wieczorem palące w środku zmęczenie wysusza język, nie czuje się nawet smaku mamałygi.

Milczymy pokornie. Jak mu pokazać, że przyszłość powinna być czasem chleba, mięsa i siennika?

Próbuję nieśmiało tłumaczyć, że wojsko, że wojna, że śmierć, że zniszczenie... Chłopak krzywi usta, ogląda popuchłe ręce i czarne, połamane paznokcie. „Chłopotom wszystko jedno, gdzie i kiedy zdechną, dziś z głodu, czy jutro na wojnie“. Kto go nauczył? Ludzie, czy droga, przeorywana z końmi przez dwanaście godzin na dobę w górę i wdół, wdół i w górę?

Parą końmi zarabia się dziennie 15 zł., ale konie są wynajęte, żydowe. W skołatanej głowie nie urodzi się organizująca myśl o dobrodziejstwach spółdzielni, którą możnaby założyć, o barakach zamiast zaciekających, kurnych kolib, o racjonalizacji wysiłku i wypoczynku — o prawach pracy. Dlatego wyzyskiwany, nienauczony człowiek powtarza uparcie: „Dobrze jest tylko panom i żydom“. Czy potrafię mu wytłumaczyć, że ciężko jest żyć bardzo wielu ludziom, że bezrobotni w norach ziemnych na peryferiach Lwowa poszliby kamienie wydzierać matce ziemi za złotego dziennie i niedogotowaną kaszę, że wielu jest równie dalekich od szczęścia spokoju i szczęścia wypoczynku, choć w inny sposób? — Kiwa bez zrozumienia głową. Mierzwi świat i szczęście poprostu ilością wyfasowanej mąki i długością dnia roboczego. Dużo czasu upłynie, zanim pozna i zrozumie inne kategorie wartości.

W samotnych, dzikich kolibach spotyka się chłopów starych, a silnych, z policzkami obrośniętymi siwiejącą szczecią, o niekształtnych, grubych dłoniach. Zrezygnowane już wojenne pokolenie, dla którego jedynym wartościowym momentem w życiu była wielka wojna, służba wojskowa, niewola. Wracali w te swoje nieżywiące góry z Turkiestanu, Kaukazu, Gruzji, Italji, Kijowa. Opowiadają o obcych ludziach, o dalekich sprawach z dobrotliwym uśmiechem, którego (jakże absurdalne są stosunki ludzkie!) nauczyła ich wojna.

Głęboko w Górach Czywczyńskich, za szumiącym lasem, za bełkocącą wodą feldfelbel Hasiuk opowiada o wojnie. Wpatruje się w nas upartymi oczami, jakby w odbiciu naszych oczu szukał tego samego zachwytu. Stary chłop tęskni do wojny. Okropne warunki bytu wskazują mu tylko takie jedyne roz-

wiązanie. Feldfelbel Hasiuk, który z wojskami dwu armij przemaszeraował pół świata — przez sześć długich miesięcy górskiej zimy czyta pozostawioną mu przez turystów gazetę, wciąż tę samą, od początku do końca, aż do znudzenia. W górach niema poczty, ani drogi, ani żadnych wieści ze świata. Straszliwie samotny człowiek radzi sobie, jak może. Skinieniem głowy pokazuje nam żonę — małą, krępą Hucułkę o wystających kościach twarzy, rozciągniętych w głupawym uśmiechu. Wyjaśnia nam spokojnie i rozważnie, że nabył ją na połoninie za srebrną piątkę od drugiego Hucuła. Nie mógł sobie dać rady z gospodarstwem, a tamtemu żona nie była potrzebna.

Biedny Bartek Zwycięzca tęskni do cywilizacji. Wspominając czasy minionej świetności, chłop prostuje się w mętnym odblasku świecy i powtarza z patosem: *Hasiuk, übernehmen sie Kompanie-komando!* — i oczy ma niewidzące.

Jest nam bardzo wstyd, panie Hasiuk! Do woj-ska pan już nie pójdzie, przekroczył pan już dawno wiek poborowy. I może nie dowie się pan nigdy, że były inne możliwości, dalekie od gweru i komendy, po których jedynym śladem w słonecznych górach nie zostałyby tylko poplątane pasma koleczastych drutów i porozwalane ziemianki.

Po szarych głazach Gorganów, przez wygwieżdzone złocienieniami połoniny gór Czywczyńskich, przez chmurną Czarnohorę, gdzie w żlebach leży śnieg i kwitnie różanecznik — ciągną się długie zaskięki zardzewiałych drutów, biegną równo i zdecydowanie wojenne drogi z okrągłaków i pełzają ponadziejnie długie linie okopów.

Po wsiach huculskich komisje lekarskie od lat bezskutecznie walczą z syfilisem. Przeprowadzona niedawno ankieta wykazała, że na niewielkiej (1/10 całego obszaru Polski) przestrzeni Karpat zarejestrowanych jest kilkadziesiąt tysięcy stowarzyszeń, organizacji społecznych, kół i bractw.

W samotnie rozrzuconych chałupach przeżywa się pokolenie wielkiej wojny. W zaduchę, trudzie i analfabetyzmie rośnie nowe, to, które ma zmienić świat.

MARJAN PROMIŃSKI

## DOKTÓR PRYWATNY INFANTYLIZMU

Powieść Gombrowicza „Ferdurdurke“\*) nie jest dziełem sztuki w sensie statycznego i obiektywnie pomyślanego fenomenu, lecz jest aktem życia, prywatną sprawą autora, który ma tę odwagę powiedzieć, że jako pisarz „drugiej gildji“ nie powinien „swemi druzgordznie przemyśleniami i filozofjami zaśmiecać bezdenne śmietnika bibliotek“, ale zabierać głos jedynie, gdy jasno wynika, że jest do tego upoważniony własnym, osobistym i życiowym interesem. Ubolewa, że pisarz wcześniej wciągnięty w fikcję jakiejś pozycji społecznej, przy pomocy której stara się utwierdzić siebie w innych ludziach, nie może być „zmiennym, niedorozwiniętym, niedojrzałym, żywym, lecz musi występować w farsie jakiejś fikcyjnej statyki; kiedy wszyscy sądzą, że pisze nie poto, by się zmieniać, kształtować, rozwijać i stwarzać, lecz dlatego właśnie, że jest już stworzony i ukształtowany“. Są to słowa człowieka mądrego i prawdomównego, wyznanie wiary, jakże zbliżone do wypowiedzi St. Ign. Witkiewicza w „Nienasyce“, który uważa powieść za worek do napełnienia wiedzą o życiu, odmawia jej prawa do obiektywnego kształtu, oddzielnego od człowieka. Dlatego nie należy u pisarzy takiego typu spodziewać się dystansu między sobą a dziełem, ani logicznego kształtowania idei w życiowe formy, ich umysł przełącza od razu puls fizjologiczny zdarzeń i pojęciowe smaki istnienia — w gotowe zdania. Wyobraźnia — szpieg wobec samej siebie, napięta naraz tysiącem uszu na podśluch, stara się sprostać prawdziwie wewnętrznej i przegrywa smotnie w połamanych zdaniach, człowiek nie da się wypowiedzieć, wszystko jest kłamstwem. Autor przeżywa tragedję rzetelności.

Anegdota Gombrowicza jest taka: Wizytator szkolny Pimko, wiedziony chyba monstrualną złośliwością, wtlacza męczyczynę przeszło trzydziestoletniego spowrotem w warunki życiowe siedemnastoletniego ucznia, i to dopiero niedorozwiniętego. Jest to wykładnik życiowego infantylizmu autora, który jako człowiek prywatny, niewprężony do żadnego wozu zbiorowego kłamstwa, stoi w tym infantylizmie nagi i bezbronny. Gdyby go jednak spytano, co sądzi o najpotężniejszym dyktatorze, powiedziałby, że jest to stare, pomarszczone dziecko, „bo wszystko jest dzieckiem podszyte“, jak mówi Fili-

dor, profesor Wyższej Syntezy. Uwsteczniony męczyczyną trafia w szkole akuratnie na ciekawy pojedynek na „gęby“, na „miny“, między dwoma prowodyrami, prymusem „Syfonem“ a ideałem repetyta „Miętusem“. Ścierają się tam bowiem dwa prądy, jeden w kierunku dalszego uniewinniania i udzieciniania siebie, drugi znowu brutalizujący, który ucieka się nawet do gwałtu, żeby uświadomić niewinnego prymusa. Potężne to kretynstwo ma swój sens. Robić do kogoś „gębę“ — znaczy to podawać się za co innego, niż się jest w rzeczywistości: uproszczony dramat weryzmu. Dalej — Pimko, żeby już do szczętu zalutować smarkacza w jego dzieciństwie, każe mu przeżywać miłość do „nowoczesnej pensjonarki“ i w tym celu wprowadza go do domu inżyniera, nowoczesnego, coś w rodzaju upper middle class, z „ciepelkiem inteligentkiem“ w formie syntetycznej i sproszkowanej. Panna jest istotnie apetyczna jak nowa emaljowana wanna, jej urok bije tak mocno, że miałoby się po niej ochotę przejechać kijem jak po dziewczym śniegu. Smarkacz, nie mogąc sprostać w swym infantylizmie jej przemocy panińskiej paniństwa doskonałego, uknuł intrygę. W nocy spiknął Pimkę i jednego ze swych kolegów na rzekomej randce w pokoju nowoczesnej, a co z tego wynikło, już się domyślamy — kupa mięsa; nigdy innemi kategorjami nie myślał umysł katastroficzny, a do takich należy Gombrowicz. Józek z Miętusem udają się na wieś dla zrealizowania nowej idei: zbratania się z ludem; — wyprawa „na parobka“ zatrąca homoseksualizmem, ale nim nie jest. Infantylisci dostają się do dworu, do krewnych Józka, i teraz następują partje najzłośliwszej satyry na arystokrację, jaką w ostatnich latach napisano, gdyby ją traktować jako środowisko z prawdziwego zdarzenia. Ale tak przecież nie jest; Gombrowicz nie pisze parodji obyczajowej, ale groteskę uczuć, one grają w tym żalonym teatrze. Wuj Konstancy to sybaryta, smakosz, płycizna uczuciowa, gwałtownik, kretyn — typ saski; ciotka — idjotka dubeltowa, która biegnie za mężem z cukierkami uspokajającymi, gdy powaga pana gotowa wystawić się na szwank, ale niema jej, gdy chodzi o wykonanie aktu przemocy, która może dworowi przysporzyć znaczenia. Pomysł Miętusa w kierunku zbratania się z ludem, był tego rodzaju, że kazał się chłopcu kredensowemu Walkowi pracować po gębie. To spoufalenie się z państwem zrewolucjonizowało wieś; kiedy Konstancy przystąpił do mu-

\*) Witold Gombrowicz. Ferdurdurke. Okładka i ilustracje w tekście Brunona Schulza. Warszawa, „Rój“, 1938; str. 324 i 4 nl.

strowania lokajczyka z dostatecznie ważnego, jak mu się zdaje, powodu, za policzek otrzymuje policzek, chłopstwo groźnie podsuwa się pod okna, konflikt klas — zdawałoby się. Nic podobnego. Infantylista główny, Józek, szuka ucieczki ze swego upokarzającego stanu, pomysł z „chłopięciami“ Walkiem jest niesławny, możeby sięgnąć po rangę mężczyzny przez uprowadzenie kuzynki Zosi, to już jest coś: uprowadzić. Zostawia za sobą kupę mięsa i ucieka „z gębą w rękach“, z kłamstwem w nowe kłamstwo.

W tę kanwę zostały jeszcze wciśnięte dwie nowe wele ze wstępami, z których zwłaszcza „Filidor dzieckiem podszyty“ jest kapitalną parodią profesorskich metod naukowych, wstęp zaś, z którego cytowałem na początku, estetycznym wyznaniem wiary.

Trudno, naprawdę, o drugą książkę, co do której zdania mogłyby być tak podzielone. Absurd czy błysk wielkiego talentu? Dla mnie jest jasne, że ani jedno ani drugie. Jest to bowiem talent „wyjątkowy“, a to różnica: panopticum pod kloszem. Nikomu nie radziłbym naśladować — wyszłaby z tego żałosna karykatura. Czynniki, które lubią za tem weszły, mogą zapewnić, że jest to istotnie literatura rozkładowa według spenglerowskiej recepty „Untergang des Abendlandes“. Przykro patrzeć, co by z autora zrobiono, gdyby nie miał tak „dobrego“ nazwiska. Tymczasem wspaniały dziwak, pan Gombrowicz, „upupił“ nietylko swego bohatera, ale także pewne instytucje władzy ziemskiej, tylko że się na tem nie poznały.

Marjan Promiński



## POECI WILEŃSCY

Teodor Bujnicki. W połowie drogi. Wiersze. Wilno, 1937, Związek Zaw. Lit. Pol.; str. 31.

Wiersze Bujnickiego nie noszą jeszcze piętna ostatecznej krystalizacji, mimo, że poziom ich uległ dużej poprawie w stosunku do wcześniejszych utworów, zawartych w „Poomacku“. Niemal wszystkie wypowiedzi zdają się świadczyć, że poeta patrzy na wiele spraw życiowych zbyt realnie i trzeźwo. Stąd wynika pewna surowość i prostota, chociaż forma wierszy jest gładka. Zachodzi to może dlatego, że Bujnicki rzadko usiłuje przedostać się poza zwyczajną codzienność odczuwać w dziedzinie fantazji czy tylko fantastyki. Kiedy udaje mu się to, nie odnosiśmy wcale wrażenia elastycznej i fascynującej wizji. Najczęściej razi suchość opisów i jakby bezbarwność. Należy uważać, że czas przełamania feljtonowości tych wierszy, naładowanych prozatorskimi chwytami („Muza“, „Do zoologa“), jeszcze nie nadszedł, jakkolwiek zapowiedzi już są (n. p. ostatni wiersz).

Jerzy Putrament. Droga leśna. Wilno, Związek Zawodowych Literatów Polskich, 1938; str. 38 i 2 nl.

Nowy tom wierszy Putramenta sprawia przedewszystkiem wrażenie dojrzałego i poważnego pod względem kompozycyjnym dorobku. Widać, że autor osiąga już w nim swą poetycką stabilizację, opartą na poczuciu umiaru i harmonji, jakie jest konsekwencją, być może, indywidualnego rozwiązania zagadnień formy i treści w obrębie własnej twórczości. Wiersze te o wyrazistej rytmice, pozbawione jakichkolwiek pretensyj do efektów czy przejawów stylistycznych, dają znać, dzięki swej zwartej strukturze, o rzetelnej pracy nad słowem. Odzwierciedlają się w nich przeważnie piękne krajobrazy z okolic wileńskich, przerywane dygresjami, w których zawiera się czysty liryzm, nierzadko o momentach refleksyjnych („Prolog“, „Pełnia lipcowa“). Sugestywne widoki, odznaczające się zwykle dynamiką procesów przyrodniczych („Bał“), ujęte są we formę spokojną i wolną naogół od niejasności i zawikłań. Wyjątek stanowią „Wiersze o wiosnie“, które wypadły słabiej. Putrament umie swoje spostrzeżenia, dokonane nad biegiem zjawisk, oddać w trafnych powiedzeniach („padło słońce garścią zamaryłych jarzębin“). Główna jednak zaleta jego utworów, pozostająca w związku z ową skłonnością do refleksji, to ostro zaakcentowana nietrwałość i skończoność wszystkiego („Przedostatnie“, „Pieśń“), którą odczuwa się również i w miejscach, gdzie przejawia się ona mniej wyraźnie („Leśna droga“). Stąd też pewne strofy „Drogi leśnej“ więżą w sobie niewątpliwą melancholję, jaka, jeśli dochodzi do głosu, bywa dojmująca. Nasuwa to nam przypuszczenie, że poezja Putramenta rozwijała się przez pewien czas w klimacie wpływów liryki rosyjskiej i jej specyficznego smętku. Z zakresu tej ostatniej reprezentowani są nawet Achmatowa i Bunin, których wiersze tłumaczone przez autora znajdują się w tomie. Do najlepszych zaliczyć trzeba wiersze na stronie 30 i 31, w których erotyczne wzruszenie znalazło prawdziwie piękne wyśłowienie.

Władysław Jaworski

TADEUSZ HOLLENDER

## OPOWIEŚĆ O NOGACH DWÓCH ŻOŁNIERZY

FRANZA HEILCHOCHA I FRANCESCA EIAEIEVIVA

I

Franz Heilchoch ocknął się w koszarach...  
Na niebie wstawał bładny świt  
i jął wydzwaniać na zegarach  
w pobudki takt Horst-Wessel-lied.

Więc Franz jak wczoraj i przedwczoraj  
germańskiej dumy wstrzymał szloch  
w piersi potężnej jak tors Thora,  
wykrzyknął — Heil! Wykrzyknął — Hoch!

A wkoło, w łózkach koszarowych  
wstrząsnął się sennie ten i ów,  
leniwie się uniosły głowy,  
dwaście nordyckich, długich głów.

Więc w łózek równy rząd z rozmachem  
Franz Heilchoch rzeźki szybko wbiegł  
z okrzykiem — Deutschland auf! Erwache!  
Heil Führer! Jud verflucht verreck!

I choć do chleba zamiast masła  
znów tylko chudy był ersatz,  
Franz Heilchoch czekał tylko hasła  
do zajęć i codziennych prac.

Więc z radjowego wnet głośnika  
wylał się w świat marszowy tusz  
z racji nowego pancernika  
dla floty wszechniemieckich mór.

Już głośnił całym Niemcem głosił,  
że dzierżyć będą świata prym...

— Na jednym czubku wielkiej osi,  
ogromnej osi — Berlin — Rzym.

II

Francesco Eiaieiviva  
już tylko w domu krzyczeć mógł,  
gdyż od miesiący dogorywał  
spowodu braku obu nóg.

Na wózku, w bohaterskiej pozie  
Francesco od miesiący trwał,  
(gdyż w afrykańskim gdzieś wawozie  
ugodził go zdradliwy strzał).

Ale trwał w wózku uśmiechnięty  
i szczęśny trwał Francesco, gdyż  
Duce dał inwalidzką rentę  
i dyplom i z dyplomem krzyż.

I pokazano nawet w kinie,  
jak Francescowi zdarzył Bóg,  
gdy z malpką wracał z Abisynji  
oraz z papugą, a bez nóg.

Zaś te zwierzaki tak wyuczył,  
jeżeli ktoś przychodził doń,  
papuga wrzeszczy — viva Duce!  
— a malpka w górę wznosi dłoń.

Wtedy Francesco się podniecał  
i patefonik puszczał w ruch  
i grzmiała marszem Giovinezza,  
jakby wspomnienie kończyn dwóch.

Bładny Francesco rękę wznosił  
w takt słów tych — „Ave patria im...“

Na drugim czubku wielkiej osi,  
ogromnej osi — Berlin — Rzym.

III

Zjechał raz Duce do Führera,  
a gdy Hochparad minął gwar,  
doszli, że czas najwyższy teraz  
skończyć raz z Frente Popular.

Tak w sposób bardzo pospolity,  
powstańczy na się wdziawszy strój  
gdzieś pod Gijon czy pod Madrytem  
Franz Heilchoch karnie ruszył w bój.

Choć nieraz twarz na dłoni oparł,  
w tęsknocie do ojczystych gwiazd,  
było z nim razem dwieście chłopca  
z czystych niemieckich wsi i miast.

Więc mierzył wrogom w samo serce,  
biegł, padał twarzą w sypki piach,  
więc siedł, jak inni w tyraljerce,  
jak kazał mu żołnierski fach.

Więc, gdy po marszu całodziennym  
w miasteczku albo we wsi był,  
Hiszpanki smagle a płomienne  
kochał przemocą z wszystkich sił.

Tak żył, aż pocisk raz działowy  
wprawdzie w pobliżu niego trzasł,  
ale rozerwał w dwie połowy  
Franza Heilchocha, proszę was.

Kadłub w kawałkach wiatr roznosił,  
gdy nogi się rozeszły z nim...

Było to też na wielkiej osi,  
ogromnej osi — Berlin — Rzym.

IV

Francesco Eiaieiviva  
już tylko w domu działać mógł,  
gdyż od miesiący dogorywał  
spowodu braku obu nóg.

I kiedy Duce huczał z Rzymu  
o gwałtach komunistów złych,  
dzielny Francesco nie wytrzymał  
i list napisał w słowach tych:

„Wspaniały Włochów Dyktatorze!  
Poszedłbym walczyć na Twój znak,  
Francesco chciałby, lecz nie może,  
bo mu obydwu kończyn brak.

Gdybym miał chociaż jedną nogę,  
na jednejbym poskoczył stąd,  
ale że nie mam, więc nie mogę  
pojechać na hiszpański front.

Ale mam jeszcze, Wodzu Drogi,  
przyjęciem zechciej uczcić mnie,

mam w szafie obie, własne nogi,  
więc zechciej, Wodzu, przyjąć je...

Nogi się mogą jeszcze przydać,  
umieją w marszu trzymać rytm...  
Podpis: Francesco — inwalida,  
weteran afrykańskich bitw“.

Malpka włochatą łapkę wznosi,  
ptak wrzeszczy: „Ave patria imm...“

— Na drugim czubku wielkiej osi,  
ogromnej osi — Berlin — Rzym.

V

Pomiędzy pragermańskie bogi  
Franz Heilchoch z ziemi przeniósł się,  
ale zostały po nim nogi,  
silne, sprężyste nogi dwie.

Bo niepotrzebna nogom głowa,  
i nawet łżej, to znany fakt,  
bez głowy, gdy chcą maszerować,  
trzymać marszowy rytm i takt.

Więc nogi Franza wraz z podstawą  
jak resztę byłby rozniósł wiatr,  
już ani lewa, ani prawa  
nigdyby nie ruszyła w świat...

...gdyby nie to, że szedł tamtędy  
w łopocie chorągwianych placht  
niemiecki pułk — a głos komendy  
i marszu łomot. Na Habt Acht!

Dwie nogi drgnęły. Naprzód miękko,  
drgnęły jak drga na wietrze liść,  
a potem równo za piosenką  
zaczęły naprzód iść i iść.

Pod rytm marszowy równo niosły,  
przed niemi drgał mistyczny trzask,  
jakby Franz Heilchoch sam wyniosły  
grzmiał obcasami raz po raz.

Za stopą stopa się podnosi,  
daleki marsz przygrywa im...

— I poszły szlakiem wielkiej osi,  
ogromnej osi — Berlin — Rzym.

VI

Francesco Eiaieiviva  
zbudził się. Zaskrzypiały drzwi,  
przez chwilę walczył z snu przypliwem,  
zdało mu się, że jeszcze śni.

Spojrzał — oniemiał. To nie żarty:  
W półsinym blasku rannych zór  
zobaczył szafy drzwi otwarte,  
lecz w szafie nóg nie ujrzał już.

Wtedy się wstecz przekreślił cały,  
by ujrzeć właśnie jak przez próg  
nogi się same w świat wyrwały,  
i wkrótce już nie było nóg.

I wtedy pojął już, dlaczego  
nogi MUSIAŁY ruszyć w świat,  
jak żyć mu dalej wobec tego,  
jęknął, i na dno wózka padł.

Znalazł się jakby w bagnie grząskiem,  
tak wstyd go dusił z wszystkich stron,  
nogi SPEŁNIŁY OBOWIĄZKI,  
których wypełnić NIE MÓGŁ on.

A wtedy jeszcze bardziej osłabł,  
skonał, nie mogąc wstydu znieść...  
— Malpka dogóry łapkę wzniosła,  
ptak wrzasnął — „Cześć poległym, cześć!“.

A żywe nogi honor nosi,  
w świat poszły jak legendy dym...

Wzdłuż wielkiej, historycznej osi,  
ogromnej osi — Berlin — Rzym.

VII

Dłużej rozwodzić się nie będę,  
tu mają swój życiowy szczyt  
nogi, zmienione już w legendę,  
w karność idealny mit.

Jak długo wędrowały — nie wiem,  
miesiące może trzy lub dwa,  
tyle wiem tylko, że w Genewie  
spotkały się któregoś dnia.

Właśnie przemawiał ktoś z Walencji  
i fantastyczne cyfry snuł,  
a Komitet Nieinterwencji  
ozdabiał właśnie obrad stół.

Gdy nagle w salę zasłuchaną  
wdarł się żołnierskich butów trzask,  
nóg weszło cztery i pod ścianą  
stuknęło obcasami — rrraz!

A wtedy nastał czas mileczenia:  
Delegat Niemiec oraz Włoch,  
zbladł jeden, drugi pozieleniał,  
— Eviva! wrzasnął ten, ten — Hoch!

Na siebie wszyscy się spojrzeli,  
lecz strach już tylko w oczach był,  
wtedy przez stoły i fotele  
zaczęły nagle wiać co sił.

Na sali, którą lek wykosiał,  
kłębił się tylko cygar dym,  
i stały nogi — symbol osi,  
ogromnej osi — Berlin — Rzym.

PRZESŁANIE

Czytelnik pewnie ciekaw teraz,  
co autor rzec mądrego chciał,  
gdy użył nóg za bohaterów,  
kpiąc jakby z bohaterskich ciał.  
Zaś autor tylko o to prosi,  
by nikt nie mówił o tem z nim,  
sam patrząc z lękiem w długość osi,  
ogromnej osi — Berlin — Rzym.



## SAGA RODU BEZFORSYTÓW

Nasz ród poetycki w zamczyskach się nie gnieździ,  
od kiedy plebs szlachetny wziął się do czytania,  
dźś u nas pętał na pętału jeździ,  
pętakiem pogania.

Idę w świat kryzysowy bez jednego gronia,  
satyrą tylko gwiżdżąc na los coraz twardszy,  
i wiem, że nie dla mnie P. K. O-we błonia,  
Kaden im wystarczy.

I niema u nas wśród skrzętnie nagrodzonych maistrów,  
wszędzie nas szukajcie, wszędzie tylko nie tu;  
lepiej do karnego zajrzyjcie rejestru  
— tam więcej poetów.

Kamena w ciupie siedzi, za kolczastym płotem,  
wawrzynkami dzwoniąc w czas ten homerycki;  
tam nasze mansardy cygańskie, tam hotel  
nasz akademicki.

Dzięki nam cenzorzy mają jakieś zajęcie  
i w zębach z nudów, dzięki nam, nie dłużej,  
tylko wciąż kreślą z malarskim zacięciem  
— oni to lubią.

My zaś z dziurą w kieszeni, z symboliczną dziurą,  
podpalamy bujdy i puszczamy z dymem;  
naprzeciw największym, rozszałam bzduram  
wychodzimy z rymem.

Gdy nasi rówieśnicy kupczą pieprzem, mąką,  
gdy z innych będą ludzie, może i posłowie —  
myśmy wciąż zajęci poetycką mrzonką,  
dowcipy nam w głowie.

Tak nam już jekkomyślnie pomazano czoła,  
ród nam tę tradycję przekazał od dziecka.

Wielbię cię, Muzo, coś piękna jest, lecz goła,  
jak święta turecka.

LEON PASTERNAK

## PIEŚŃ PACHOŁKÓW

Piosenka, ułożona przez anonimowego autora, śpiewana w kołach opozycyjnych w Niemczech.

To my SS, to my SA  
to my brunatne chluby,  
a każdy dumny, babkę ma,  
Teutony i Kaszuby.  
Wyrzniemy wszystkich, niech zna świat  
„niemieckich chrześcijan“ ród.  
Do djabła nam żydowski kram,  
nas grzeje własny brud!

Refrain:

Obuli, dali browning, nóż  
i tak kazali iść.  
Kto tylko ma niemiecki mózg,  
ten maszeruje dziś.  
Książęta i kręglarzy klub  
dziś nie drą z sobą kotów.  
Kto żydów i marxistów różnie  
ludową jest wspólnotą.

„Podczas ucieczki“ strzela się  
codziennie dziś faceta,  
te sam proletarjacki śmieć  
et caetera societa.  
Mówi się: Czmychaj, synku mój  
lecz ani pary puść,  
cichutki trzask, maleńki dym  
i po ucieczce już.

Refrain — i t. d.

Tak siedząc sam, tu w jednej z cel  
powiesił się dziś człowiek.  
Jak z jajkiem myśmy byli z nim  
czy dotknął go ktokolwiek?  
A w końcu dyndał z okna ram  
jak zgniły, szary liść,  
lecz o tem, jak w pętlę wlaź,  
nic nie wie, nawet dziś.

Refrain — i t. d.

W głównym obozie, w Schöneberg  
ktoś latać wielką chęć miał.  
Na czwarte piętro poszli z nim.  
Nie leciał w gwiazd objęcia.  
Stawili go na okna brzeg.  
Jak trza, rzekł ktoś: Złam kark.  
Defekt motoru, zbity łeb.  
Taki był pierwszy start.

Refrain — i t. d.

Krew nie jest zwykłym soczkiem z róż,  
o życie równe bogom!  
Browning, cholewa, za nią nóż.  
Bij go! Lecz nie wal obok!  
My to niemiecki nowy czyn,  
to Rzeszy świeży wiew,  
choćby ostatni Niemiec syn  
przy tem jak bydlę zdechl.

Refrain — i t. d.

przełożył STANISŁAW JERZY LEC



rys. K. Baraniecki

Orate, frères!

## DZIEJE MOPSA — BAJKA EZO - PSA

(z Joachima Ringelnatza)

Jak to było z tym mopsem Wau Wau?  
Nie pamiętam, kiedy fakt się dział  
i czy ten pies Bobs  
raz — dwa — trzy — hops!

Czy ten pies perliczką się rodził,  
którą stroną w ciężę zachodził  
i wogóle ten pies Bobs  
raz — dwa — trzy — hops!

Może jamnik perliczką się stał,  
z ptasich piersi chude mleko ssał.  
Myślę, że ten jamnik, to był mops —  
raz — dwa — trzy — hops!

Zawsze, kiedy w dziką wściekłość wpadł,  
to kamasze niezbyt smaczne jadł  
oraz gdański klops —  
raz — dwa — trzy — hops!

Szczególny mops był Bobs Wau Wau:  
raz — dwa — trzy — hops — hau — hau!  
JERZY KAMIL WEINTRAUB

## Konkurs poetycki „Sygnałów“

## Kupon nr. 2.

## „SYGNAŁY“

należy czytać

prenumerować

rozpowszechniać

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK

Redakcja i administracja:  
LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 12codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt,  
od godziny 18—19, tel. 244-78.

PRENUMERATA:

roczna 5 zł., półroczna 2.60 zł., kwartalna 1.40 zł.

Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr. 1.

CENY OGŁOSZEŃ:

1 mm szerokości 1 szpalty 80 gr.

Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6.



rys. Fr. Parecki

## „Ręka w rękę z narodem“

## BAJKA O KURACH

Dwie kury,  
zadarłszy łby dogóry,  
jak to bywa u kur  
w zwyczaju,  
wiodły zaciekle spór,  
gdacząc każda o swoim jajku.

Jedna mówi:  
„Ludzie mrą a czyni zostają.  
Moje jajo  
uczyniło ongi wielki szum; ba!  
historyczną zyskało sławę,  
było bowiem — pani zna tę sprawę? —  
tak zwanem jajkiem Kolumba!“.

Druga mówi:  
„To nie, proszę kumy,  
to jeszcze nie powód do dumy,  
bo to dawno miniona pora  
i zresztą żadne bógwico.  
Ja co innego!  
Moje jajko leciało w niejednego profesora,  
znanego w kraju i zagranicą!“...

MORAŁ:

A temu, kto moralu szuka,  
Jakąż naukę da ta bajka?  
Zadną! bo pocóż tu nauka?  
Wystarczą — jajka.

LEONID FOKSZAŃSKI

## BEZ TYTUŁU

Jeszcze nie czas jest monomachom  
czapkować, choć u władzy są,  
choć tryumfuje podty pachol,  
ten z orderami i z lorgnon.

Jeszcze nie przyszedł kres kultury,  
ten ostateczny kresów kres,  
choć są Schirachy i Baldury,  
te z insygniami i te bez.

Jeszcze się szuję tak nie wesel,  
choć w łapach mauzer masz i bat,  
choć się poronił nasz Horst Wessel,  
rodzimy Antczak — tęgi chwast.

Gdy wam za symbol starczy stragan,  
pikieta za ojczyzny straż,  
niechże sumienia żre wam zgaga,  
gdy „Niemiec będzie pluł wam w twarz“.

Gdy lada kuglarz Wernyhora  
i byle szczeniak duce'm jest,  
wychodząc w bój wieczorną porą  
i biorąc motopompy chrzest.

Tchórzliwa bestjo! Ty co warczysz,  
w tragiczny naszych dziejów czas.  
A tylko nogą tupnąć starczy,  
a wy do nor — i niema was!

CYK-CYK

Redaktor odpowiedzialny: KAROL KURYLUK.